



uśmiech
dziecka

uśmiech dziecka

Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego

Opole 2019

*Bezustannie
wypatruj
cudów.*

E. B. White



Wrodzy Rodzice,
Panie, Panowie,
Kochani

Oddaję w Wasze ręce zbiór pięknych historii, które mają jedno przesłanie - uśmiech dziecka.

Dla mnie ta książka jest lekcją wiary, nadziei i miłości człowieka do człowieka.

Z całego serca dziękuję za zaangażowanie Wszystkim Małym i Dużym Bohaterom naszej publikacji, Rodzicom, Nauczycielom oraz Wszystkim, którzy przyczynili się do jej powstania.

Z serdecznymi pozdrowieniami
Wasz mamiulek
Agnieszka Dula



Spis treści

Wiersze	13
Opowiadania	87
Wywiady	143



Kilka słów o książce

W 2018 roku pod patronatem Marszałka Województwa Opolskiego zorganizowałyśmy konkurs „Opolska mama ma moc”, w którym dzieci mogły startować w kategoriach: plakat, mapa, wiersz, opowiadanie. Uczestnikiem konkursu mógł być każdy uczeń szkoły podstawowej z terenu województwa opolskiego, przy czym wyodrębniłyśmy grupy wiekowe i tak:

- w kategorii plakat „Moja mama ma moc” mogli wziąć udział uczniowie klas I-III,
- kategorię mapy „Odkrywam z rodziną Opolszczyznę – mój region” podzieliliśmy na dwie podgrupy, tj. klasy I-IV oraz V-VIII,
- w kategorii wiersz „Uśmiech dziecka” mogli spróbować swoich sił uczniowie klas IV-VIII,
- do zgłaszania opowiadań „Śmiejemy się w naszej rodzinie” mogli przystąpić uczniowie klas IV-VIII.

Opolscy młodzi projektanci to była specjalna kategoria. Otóż w jej ramach zespół *Opolska Mama ma Moc* (a nie Jury konkursowe) przyznawał wyróżnienia dla prac plastycznych, które docelowo miały zostać wykorzystane w gadżetach promocyjnych OMMM w 2019 r. Stało się. Ci z Was, którzy uczestniczą w wydarzeniach organizowanych przez nas w tym roku mają okazję zobaczyć, jak pomysł wykorzystania prac plastycznych dzieci zrealizowałyśmy w praktyce. Wracając do konkursu. Zgłoszono aż 918 prac – to było

dla nas bardzo przyjemne zaskoczenie, szczególnie że prace spływały do nas faktycznie z całego województwa. Uroczyste wręczenie nagród z udziałem Marszałka Województwa Opolskiego zorganizowałyśmy 12 grudnia 2018 r. w Opolu. Coś co było przed ogłoszeniem konkursu tylko nieśmiałym zamierzeniem, po jego realizacji stało się faktem – miałyśmy wspaniały materiał do kolejnej publikacji.

Oto trafiła do Ciebie książka, dzięki której dowiesz się co zdaniem dzieci jest najważniejsze, jak widzą i postrzegają to co je otacza, czym jest uśmiech dziecka, co jest najważniejsze dla rodziny. Zobaczysz dzięki pracom plastycznym dzieci, co się kryje pod hasłem „Moja mama ma moc”, a także co według nich jest interesującego w naszym województwie. W książce zobaczycie prace plastyczne laureatów i specjalnie wyróżnionych, przeczytacie wiersze i opowiadania wszystkich nagrodzonych dzieci. W drugiej części książki prezentujemy pogląd osób dorosłych na świat dziecka, rodziny. Ponownie udało nam się zaprosić do 14 wywiadów wspaniałe osoby z naszego regionu, które podzielią się z Tobą swoim doświadczeniem, refleksjami – może staną się dla Ciebie inspiracją.

W tym miejscu pragniemy podziękować za okazane nam zaufanie i poświęcony czas im wszystkim, tj. Barbarze Drożdżowicz, Joannie i Gerardowi Wilczkom, Klaudiuszowi Lisoniowi, Marcie Szewerdzie-Koszyk, Arturowi i Jolancie Kansy-Budzicz, Tomaszowi Minkiewiczowi, Marii Markuszewskiej, Annie Markuszewskiej-Łabudzińskiej, Gabrieli Dworakowskiej, wszystkim działaczom i fanom LZS Kuniów oraz LZS Ligota Oleska, Dorocie Wocka, Teresie i Kazimierzowi Jednorogom a także dr Annie Ziembie i dr n. med. Czesławowi Milejskiemu.

Edycie Hanszke-Lodzińskiej za wszystkie wywiady, Krzysztofiowi Świdierskiemu za wzbogacenie treści sesjami fotograficznymi oraz Agnieszce Gabruk za to, że jest otwarta i realizuje z nami przedsięwzięcia w ramach *Opolska Mama ma Moc*. Aby prace laureatów naszego konkursu trafiły do książki „Uśmiech dziecka” z zachowaniem artystycznego zamiaru oraz na tyle ile było to możliwe dla nas technicznie – czuwała, sprawdzała skrupulatna grupa: Anna Możdżeń, Agnieszka Pijarowska oraz Marzena Lukowska. Dziękujemy wszystkim – długa lista – którzy razem z nami opracowywali tę książkę i wspierają nas w realizacji *Opolska Mama ma Moc*. Jest Was naprawdę wiele. Jesteście fantastyczną motywacją dla nas.

Szczególne podziękowania dla Pana Andrzeja Buły za zaufanie, ale także inspirowanie do dalszych działań oraz umożliwienie prowadzenia innej, satysfakcjonującej, często niełatwej aktywności poza standardowymi działaniami, jakie są nam powierzane w ramach wykonywanej pracy zawodowej.

Dziękujemy,
Karina Bedrunka
Maja Byrdak
Aneta Miskurek
Danuta Olender

wiersze



Kacper Piotrowski, I miejsce, 10 lat

„Uśmiech Dziecka”

Każdy człowiek Ci to powie,
Uśmiech to jest samo zdrowie.

Gdy na twarzy dziecka gości,
To oznaką jest radości.

Kto chce zdobyć przyjaciela,
Ten uśmiechem swym obdziela.

Bo w uśmiechu siła tkwi,
Która serc otwiera drzwi.

Uśmiech może rozweselić,
Może pomóc się ośmielić.

Niezawodny, gdy ktoś płacze,
W cień odsunie wnet rozpacz.

Gdy wesoło jest na duszy,
Uśmiech sięga, aż po uszy.

A więc śmieję się ile sił,
Abyś zawsze zdrowym był!



Anastazja Topolnicka, lat 7, I miejsce, PSP w Raclawicach Śląskich

Szymon Kuśnierkiewicz, II miejsce, 14 lat

„Jak...”

Jak kwiat polny co wiosną
przebija śnieg i błoto,

jak słońca promień po burzy
maluje świat na złoto,

jak otucha wstępująca
wprost do serc strapionych,

jak nadzieja niezłomna co
broni spraw straconych,

jak widok portu raduje
żeglarzy utrudzonych,

jak górską wodą ożywcza
spływa do ust spragnionych-

tak uśmiech dziecięcy, promienny
strun najczulszych dotyka,

a w uszach rodziców brzmi zawsze
jak najpiękniejsza muzyka...

Julia Owsiak, III miejsce, 12 lat

„Uśmiech dziecka”

Mama, tata to rodzina,
tak historia się zaczyna.
Potem dzieci, jasna sprawa,
wtedy świetna jest zabawa.

Syn czy córka, każde dziecko,
najważniejsze jest na świecie.
To przypomnieć trzeba wszystkim,
dziecko skarbem oczywistym.

I choć berła nie posiada,
to rodziną całą włada.
Sposób ma na bliskich prosty,
uśmiech szczery i radosny.

Ono rozwiewa wszystkie smutki,
choć jeszcze jest malutkie.
Troski także w radość zmienia,
aby w końcu wyszły z cienia.

Uśmiech dziecka jest uroczy,
śmieją się w nim nawet oczy.
Usta, nosek, buźka cała,
radość dziecka niebywała.

Uśmiech buzię rozpromienia,
gdy spełniają się marzenia.
Mama, tata choć dorośli,
też doświadczyć chcą radości.

Więc niech przykład z dziecka biorą
i nauczą się z pokorą.
Śmiać się szczerze i serdecznie,
radość trwać już będzie wiecznie.

Śmiejmy się więc wszyscy razem,
naśladując dzieci czasem.
Bo ich uśmiech wyjątkowy,
prosto z serca jest, nie z głowy.

Karolina Skawińska, III miejsce, 9 lat

„Uśmiech dziecka”

Lubię, kiedy słońce świeci.
Lubię, gdy muzyka leci.
Lubię waniliowe lody
i kąpiele dla ochłody.

Lubię jeździć na rowerze.
Lubię czytać po spacerze.
Lubię mieć przyjaciół wielu,
z kotem siedzieć na fotelu.

Wiele lubię, tak już mam!
Teraz jedno powiem wam!
Że najbardziej z mamą, z tatą
lubię spędzać całe lato.

Oliwia Goinda, wyróżnienie specjalne, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Co to jest uśmiech dziecka? – pyta Ada.
A mama jej odpowiada: „Uśmiech dziecka jest jak czekolada.
Zamiast ją zjeść spojrzę na twą roześmianą buzię
i to ona przegoni każdą złą myśl i straszną burzę”.

Wtrąca się tata: „A dla mnie moja kochana
Twój uśmiech z rana,
to siła do zarabiania pieniędzy,
żebyśmy nie żyli w nędzy”.

Uśmiech wnuczki dla dziadka,
to wspaniała gratka.
Dziadek o bólu krzyża zapomina
i pierwszy uśmiech dziecka wspomina.

Babcia upiekła muffinki dla swej cudownej rodzinki.
Usiadła w fotelu i mówi:
„Uśmiech dziecka jest zagadką,
którą odgadniesz, gdy będziesz matką”.

Patryk Goinda, wyróżnienie specjalne, 13 lat

„Uśmiech dziecka”

Każda rodzina od uśmiechu się zaczyna.
Najpierw mama oczarowała uśmiechem tatę,
który kupił jej za to cukrową watę.

Po wacie były zaręczyny
i urodziły się im trzy dzieciны.
I jak wszyscy pewnie wiecie,
uśmiechały się najpiękniej na świecie.

Uśmiech dziecka moi mili,
jest wart każdej w życiu chwili.
To przepiękny wyraz twarzy,
o którym każdy rodzic marzy.

Aby uśmiech się pojawił,
rodzic z dzieckiem się zabawi.
Uśmiech dziecka jest niezapomniany
i na zawsze w pamięci rodzica zapamiętany.



Milena Smutek, lat 7, II miejsce, PSP nr 20 w Kędzierzynie-Koźlu

Maja Krysiak, wyróżnienie specjalne, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Uśmiech dziecka jest jak słońca promyczek,
sprawia radość większą niż bukiet różyczek.
Uśmiech dziecka to szczęścia strumyczek,
który rozwesela tak wiele twarzyczek.
Uśmiech dziecka to bezcenny dar, który jest jak magiczny czar.
Potrafi zdziałać największe cuda,
nawet gdy w koło straszna nuda.
Gdy deszczyk pada lub słońce świeci,
największą radością są uśmiechnięte dzieci.
Uśmiech dziecka jest jak tysiąc słów,
więc przyjacielu miły, uśmiechnij się znów.
Bo każdy ci to powie, że uśmiech to samo zdrowie.

Julia Kurc, wyróżnienie specjalne, 9 lat

„Uśmiech dziecka”

Uśmiech dziecka

To błękitne niebo nad nami, gdy dzielimy się marzeniami

Uśmiech dziecka

To plaster niesiony przez mamę, gdy kolano zadrapane

Uśmiech dziecka

To z koleżanką spotkanie i zabawa w grzybobranie

Uśmiech dziecka

To słońce w pochmurne dni, to piękne noce i sny

Uśmiech dziecka

To promyk słońca gdy ciężki dzień dobiega końca.



Andrzej Pałosz, lat 6, III miejsce, SP w Kamienniku

Paweł Lizoń, wyróżnienie specjalne, 9 lat

„Miłość rodziny”

Moi Rodzice mają jeden cel,
żebyśmy ja i mój brat każdego dnia uśmiechali się.
Mają dużo pracy i mamusia w ciąży jest,
ale zawsze możemy liczyć na ich czuły gest.
Pomagają nam w zadaniu, sprzątają za nami,
lecz zawsze mają czas pobawić się z synami.
Chodzimy na spacer, jeździmy rowerami,
układamy klocki Lego i bawimy się autkami.
Kochamy naszych rodziców z całego serduszka,
oni bardzo często dają nam całuska.
Nie zawsze jesteśmy grzeczni, psocimy czasami,
a i tak Mamusia i Tatuś mówią,
że jesteśmy ich największymi skarbami.
Jesteśmy szczęśliwi i uradowani,
bo całą rodziną bardzo się KOCHAMY.

Aleksandra Maciak, wyróżnienie specjalne, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Kiedy smutek mamę męczy
Gdy niepokój mamę dręczy
Ja uśmiech dzisiaj mam
Swoją miłość mamie dam!

Gdy tato przychodzi z pracy skonany
Chodzi smutny i niewyspany
Ja uśmiech dzisiaj mam
Swoją miłość tacie dam!

Kiedy dziadka bolą stawy
Chodzi chory i kulawy
Ja uśmiech dzisiaj mam
Swoją miłość dziadkowi dam!

Gdy babcia ciągle narzeka
I na dziadka się wścieka
Ja uśmiech dzisiaj mam
Swoją miłość babci dam!

Kiedy na dworze piorunami wali
Nasz pies boi się i żali
Ja uśmiech dzisiaj mam
Swoją radość pieskowi dam!

Gdy Zuzia ma w szkole kłopoty
I czeka ją kara za psoty
Ja uśmiech dzisiaj mam
Swoją radość Zuzi dam!

Więc pamiętaj!
Kiedy smutek Cię męczy
Moc kłopotów dręczy
Z uśmiechem na buzi
Jesteśmy duzi!

Julia Mincer, wyróżnienie specjalne, 13 lat

„Uśmiech Dziecka”

Gdy na dworze deszcz i ślota
I wokoło pełno błota,
Życia chwilę ci rozjaśni
Uśmiech dziecka.

I gdy ból i rozpacz nosisz,
Gdy o lepszą przyszłość prosisz
Życia chwilę ci rozjaśni
Uśmiech dziecka.

Gdy przyjaciel cię zawiedzie,
Gdy się znajdujesz w strasznej biedzie
Życia chwilę ci rozjaśni
Uśmiech dziecka.

Kiedy z oczu łzy wylewasz
I na cały świat się gniewasz
Życia chwilę ci rozjaśni
Uśmiech dziecka.

Nic lepszego bowiem nie ma,
Gdy twój świat się w gruz zamienia
Niż radosny i bez troski
Uśmiech dziecka.

Oliwia Piskorska, wyróżnienie specjalne, 10 lat

„Uśmiech Dziecka”

Każde dziecko niech pamięta!
Kiedy buzia uśmiechnięta –
Wszystkie troski precz znikają,
W niczym nam nie przeszkadzają.

Uśmiech daje moc radości,
Dzieciom szczęścia i miłości.
Każde dziecko niech pamięta –
Buźka ma być uśmiechnięta!

Julia Pszczolarska, wyróżnienie specjalne, 13 lat

„Smutny uśmiech dziecka”

Jak byłam małą, ona zawsze przy mnie stała,
mocno przytulała i do przedszkola odprowadzała.
Uśmiech na mojej twarzy szybko wywoływała.
Ciągłe opowiadała, jak mocno mnie kochała.
Z czasem wszystko się zmieniło.
Ja nadal nad życie ją kochałam,
swe serce oddawałam.
Ale słowa mamy coraz bardziej mnie raniły,
a jej czyny, od środka niszczyły.
Wszystko stało się pewnego lata...

Dobrze, że zawsze obok mnie jest mój tata.
Mamo, po co tak zrobiłaś? Po co mnie zraniłaś?
Uśmiech z mojej twarzy na zawsze już skreśliłaś.
Już nie ma mnie, już nie ma dawnych nas,
już nie mam mojej mamy!
Pozostały jedynie głębokie wspomnienia i bolesne rany.

Opalska mama ma MOC



Martyna Pikul, lat 8, wyróżnienie specjalne, ZGSP w Pawłowiczkach

Marek Wiecha, wyróżnienie specjalne, 11 lat

„Uśmiech dziecka”

Kiedy dziecko śmieje się
cały świat weseli się.
Bo gdy uśmiech jest na twarzy,
to się wszystkim lepiej marzy.

O tym, aby lepiej było,
żeby nam się lepiej żyło,
w wiosce, w mieście, w całym kraju,
w lipcu, sierpniu oraz maju.

Bo gdy dziecko śmieje się
radość, szczęście mnoży się.
Mama o tym dobrze wie
i dlatego kocha mnie.

Julia Żylska, wyróżnienie specjalne, 9 lat

„Szczęśliwe marzenia”

Kiedy myślę o uśmiechu,
to w tym przecież nie ma grzechu.
Marzę o tym, by na świecie
dziecka uśmiech był jak w lecie.
By nie znikał przez rok cały,
aby każdy był wspaniały.
Dziecka uśmiech ma być szczery,
pełen wiary i nadziei.
Niech zostawia swe rozterki,
bo ten uśmiech ma być wielki.
Gdy ich miłość tak rozkwita,
na ich twarzach uśmiech wita.
Wiele marzeń jest spełnionych,
wiele chwil jest uchwyconych.
Każdy może mieć marzenia,
bo są wszystkie do spełnienia.
Tylko zawsze pamiętajcie,
że ten uśmiech jest jak w bajce.
Jest tak ważną częścią życia
i tak łatwy do zdobycia.
Pamiętajcie także o tym,
że w tym sercu naszym złotym
wiele miejsca pozostaje
do spełnienia naszych bajek.

Zuzanna Bernacka, wyróżnienie, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Gdy za oknem ciągle leje,
a pioruny straszą cię,
zamiast chować się pod kocem
to uśmiechnij wreszcie się!
Bo uśmiech to skarb,
zwłaszcza u dziecka.
Uśmiechaj się!
A w domu jak w słoneczny dzień,
wszystko rozpromieni się.
Więc pamiętaj, śmieję się, śmieję!
Aż cały świat stanie lepszy się.

Jakub Brodowy, wyróżnienie, 11 lat

„Uśmiech Dziecka”

Kiedy budzę się rano,
Zanim ptaki wstaną,
Siadam przy oknie,
Uśmiecham się radośnie.

Znów patrzę na wieś,
Na błękitne obłoki.
Kocham ją za spokój i ciszę,
Za piękne widoki.

Wieczorami spacerujemy,
Odwiedzamy bliskich, na księżyc patrzymy.
Uśmiechamy się do siebie.
Tutaj jest nam jak w niebie.

kocha, opiekuje się mną, odwalia ze mną
lekcje, gotuje obiady, pomaga mi w lekcjach,
pierze, prasuje, sprząta, robi mi śniadania,
przytula do snu, czyta mi przed snem,
zawozi mnie do szkoły, opiekuje się moją
chorą siostrą, wyprowadza pieska

dba o
dom,
chodzi
ze mną
na
spa-
cery,

lubi
czekoladę,
opiekuje
się mną, gdy jestem

chora, robi zakupy,
pociesza mnie gdy jestem

smutna, jest wyrozumiała, często się uśmiecha,
myje okna, lubi oglądać ze mną bajki,
opowiada mi historie jak była mała,
zawsze mogę na nią liczyć jest moją przyjaciółką.
Moja mama umie wszystko bo jest mama.

na spacer

opiekuje
się mną
i kotem,
pomaga
innym
ludziom
bawi się
ze mną,
całuje
mnie
na do-
branoc,
lubi kawę,

jest cipliwa,
robi pyzka hejba-
ze z miodem i
cytryną mało śpi

MOJA MAMA
JEST MOC

Olaf Ciurla, wyróżnienie, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Dziecko szczęśliwe
to dziecko prawdziwe.
Dziecko ma moc,
którą ma całą noc.
Uśmiechem zaraża
i nigdy się nie przeraża.
Uśmiech radosny
jak pierwszy dzień wiosny.
Otuchy dodaje,
aż chętnie się wstaje.
Uśmiech to kreska
od ucha do ucha
rozgrzewa serca...
to największa otucha.

Alicja Derda, wyróżnienie, 13 lat

„Czarodziejski uśmiech”

Mała Różyczka jest śliczną dziewczuszką,
postanowiła dziś rano, że zostanie wróżką,
Biegała po domu z różdżką w swych małych dłoniach,
czarując wszystkich dokoła: mamę - w księżniczkę, a tatę - w słonia.

Lalkę zmieniła w siostrę, której Różyczka nie miała.
Misio został braciszkiem, którego tak bardzo chciała.
Dom stał się wesoły przez kilka machnięć różdżką,
a mała Różyczka szczęśliwa, bo była prawdziwą wróżką.

Wieczorem dziewczynka odwiedziła babcię i dziadka chorego
i już od samych drzwi mała wróżka uśmiechała się do niego.
- Dziadziusiu, co Cię boli? Noga, ręka czy nos?
Uzdrowię Cię mą różdżką – krzyczała śmiejąc się w głos.

- Kochana moja wróżko... - wziął dziadek Różę na ręce,
- Nie noga i nie ręka, lecz moje stare serce.
Twoja różdżka jest magiczna i wszystko wokoło zmeni,
lecz Twe dobre serduszko świat cały piękniejszym czyni.

Twój uśmiech jest lekarstwem na ból i na cierpienie,
na starość, która przychodzi i staje się życia cieniem.
Uśmiechaj się ma wnuczko, jak słońce się śmieje do kwiatka.
Pamiętaj, że szczerzy uśmiech jest skarbem każdego dziadka.

Dmytro Halushko, wyróżnienie, 13 lat

„Uśmiech dziecka”

A jeżeli dziecko, najszczęśliwsze z ludzi,
Które jest jako ptaszek, i motyl, i kwiat...
Spójrz w oczy twego dziecka....
W sercu ci się zbudzi radość,
Której nie zaćmi najsmutniejszy świat.
Jest podłość i jest rozpacz, i troska, i żal..
Są złe siły dokoła i jest moc zdradziecka,
Co więdnąć każe kwiatom, ptaki pędzi w dal..
Moc tę zwycięża jedno tylko:
Uśmiech dziecka...

Weronika Drobisz, wyróżnienie, 13 lat

„Uśmiech dziecka”

Dziś dzień rozświecił się w jego oczach,
po raz pierwszy radość ma taki blask.
Malutki, subtelny, kącik słodczy,
Rożek niespodzianek wypełniony zagadkami.

Pocieszny, radosny uśmiech buziaka – słodziaka,
Słodki jak cukrowa wata.
Uśmiech, uśmieszek, pulchniutki jak pączek,
Szeroki jak banan i kolorowy jak tęcza.

Zawsze obok mnie, rozwiewa chmury i zawieruchy,
Rozgania smutki i smuteczki dnia codziennego.
Ten mały uśmieszek, który jak słońce
Dotyka promykiem moje serce.

Ten kochany, pogodny uśmiech –
Uśmiech dziecka...

Julia Weronika Drózdź, wyróżnienie, 14 lat

„Uśmiech dziecka”

Powiedz, gdy słyszysz ptaków śpiew,
Gdy woń kwiatów psotny wiatr rozwiewa.
Powiedz, gdy słyszysz dziecka śmiech.
Powiedz... to szczęście się uśmiecha.
Ten śmiech jak słońce ozłaca twarz.
Jak najpiękniejsza muzyka koi.
Przecież, gdy dziecko uśmiecha się,
to choćbyś cierpiał – mniej zaboli.
Podaruj dziecku taki świat,
w którym nie ma miejsca na gniew.
Gdzie tylko miłość, pomimo wad
potrafi przywołać – dziecka śmiech.
Potrafi przywołać – Uśmiech dziecka.



Patrycja Humbla, lat 9, wyróżnienie specjalne, ZSP PSP w Szybowicach

Wiktoria Dudek, wyróżnienie, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Słońce świeci, chmurki płyną,
Piękny to jest dzień.
W koło słyhać śmiechy dzieci,
Lecz Ty, nie uśmiechasz się.

Pytam czemu jesteś smutny,
Czemu śmiać się nie chcesz też,
Ty powiadasz; Mama chora,
Smutny to jest dzień.

Mówię Tobie; będzie dobrze,
Jutro lepiej może być,
Uśmiech jest lekarstwem duszy,
Uśmiech - nawet przez łzy.

Słońce świeci, chmurki płyną,
Piękny to jest dzień.
I Twa buzia uśmiechnięta,
Błyszczący - w kryształowej łzie.

Paweł Dużyński, wyróżnienie, 12 lat

„Uśmiech jak słońce”

Uśmiech dziecka jest jak słońce,
piękne, lśniące i gorące.
Daje życie mamom, tatom,
tak jak słońce wszystkim kwiatom.
Rozwesela całe życie,
jak stokrotka w swym rozkwicie.
Jak motyle i jak tęcza,
łąka kwiatów, nić pajęcza.
Bez uśmiechu smutne życie,
usiądziemy, zapłaczymy skrycie.

Zuzanna Garyga, wyróżnienie, 8 lat

„Uśmiech Zuzi”

Lody, żelki, czekoladowe serducha
to jest to, co sprawia że moja
buzia uśmiechnięta jest od ucha do ucha.

Lubię jeździć na rowerze
uśmiech wielki – aż nie wierzę!
Rolki, wrotki to mój świat
uśmiech jest wtedy jak piękny kwiat.

Czas spędzony z rodzicami, bratem
Frankiem, kolegami sprawia mi wiele radości
i wtedy piękny uśmiech na mojej twarzy gości.

Benjamin Golletz, wyróżnienie, 14 lat

„Krótki wiersz o uśmiechu”

Co pierwsze otrzymuje od dziecka mama i co pierwsze dostaje tata?
Co uszczęśliwia dziadków i rozbawia starszego brata?
Co powoduje w nas, że świeci słońce i wróbla radość co o poranku lata?
Co pozostaje w nas, pomimo, że codziennie zmienia się data?
Co jest każdemu z nas potrzebne, jak królowi brytyjskiemu szata?
Oraz brak tego to ogromna dla świata strata?
To uśmiech dziecka – na mojej twarzy
Pojawia się, gdy się rozmarzę,
To coś potrzebnego i właśnie dlatego
Całemu światu daję go w darze.
Każdy ma w sobie malucha skrytego,
O czym nie wolno zapomnieć.
Pisząc ten „Krótki wiersz o uśmiechu” dotarło to również do mnie.

Mateusz Grześkiewicz, wyróżnienie, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Uśmiech – mały skrzat
mieszka w lesie już od lat.
Z każdym dzieckiem żyje w zgodzie,
dobroć lubi na co dzień.

Kiedy smutek ściga nas
uciekamy szybko w las.

- Uśmiechu, skrzacie nasz
jaką nam dziś radę dasz?

- Tylko jedna rada jest.
Optymizmu naucz się,
wtedy Ci nie będzie źle.

Z uśmiechem w przyszłość patrz,
z optymizmem idź przez świat!

Amadeusz Hoffman, wyróżnienie, 14 lat

„Uśmiech dziecka”

Co pięknego stało się dziś, to dziecka uśmiech,
Czasem w grymas się zradza,
Czasem w złość przemienia się magicznie,
Jednak uśmiech dziecka to to,
Co każdego rodzica we własny uśmiech wprawić powinno.
Czasem ten uśmiech wiele kosztuje,
Ale Drogi Rodzicu
uwierz mi na słowo,
że to najpiękniejsza rzecz na Ziemi,
Której najpiękniejsza modelka
ani nawet najprzystojniejszy model
Przebić Nie Mogą.
Bo to, moi mili,
jest właśnie
to,
co wszystkich
o miłość
zaopatrza



Fabian Koziół, lat 7, wyróżnienie specjalne, PSP w Suchej

Lena Karpińska, wyróżnienie, 9 lat

„Uśmiech Dziecka”

Dzieckiem jestem, dzieckiem szczęśliwym.
Nieważne czy bardziej, czy mniej urodziwym.
Uśmiech zawsze na mej buzi gości
i chociaż czasami jest coś, co mnie złości.

Są bowiem w moim życiu osoby,
które jak najpiękniejsze ozdoby,
potrafią pocieszyć moje serduszko,
wystarczy szept na moje uszko.

Wtedy zawsze odpowiadam uśmiechem,
poczucie mego szczęścia odbijają się echem.
I wiem, że wokoło wszyscy są mi bliscy,
wspólnie tworzymy rodzinny krąg ścisły.

Wiem, że dla nich mój uśmiech to skarb,
więcej niż bogactwo jest on wart.
Za dziecka uśmiech wszystko potrafią oddać,
a złemu losowi się nie poddać.

Dlatego wszystkie dzieci świata!
Wasza buzia będzie bogata,
gdy uśmiech nigdy nie zniknie z niej,
wtedy smutków i trosk będzie mniej.

Wszystkie dzieci i duże i małe,
nie chcą być w życiu odrzucane.
W serduszkach ich iskrzą gorące płomienie,
choć potrafią jeszcze tak niewiele.

Patrząc na ich buzie uśmiechnięte,
stają się rzeczy niepojęte.
Bo za uśmiech dziecka wszystko można oddać
i żadnym złym siłom się nie poddać.

Nieważne, czy buzia piękna jak u lali,
ważne, by uśmiech na niej się pojawił.
Uśmiech na dziecka twarzy wszystko zagłuszy,
i każdego smutasa poruszy.

Kalina Kołodziej, wyróżnienie, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Nie prezentów sterta,
lecz buzia uśmiechnięta.

Nie słodczy góra,
lecz uśmiechu fura.

Nie smartfon na wypasie,
lecz spacer w międzyczasie.

Choć te rzeczy też wartość mają,
uśmiechu dziecka nie wywołają.

To wasza miłość i z Wami rozmowa,
na mojej buzi uśmiech wywoła.

Ewa Kosala, wyróżnienie, 11 lat

„Uśmiech dziecka”

Od rana się uśmiechamy
Do taty i do mamy
Śmiejemy się gdy jemy
I gdy zęby myjemy

Kiedy jesteśmy na dworze
Wszyscy są w dobrym humorze
Słońce uśmiecha się do nas szeroko
A my wtedy skaczemy wysoko

Śmiejemy się też wieczorem
Każdy z nas tryska humorem
Nawet kiedy zaśniemy
To w snach też się śmiejemy.



Magdalena Giemza, lat 7, wyróżnienie specjalne, PSP nr 1 w Strzelcach Opolskich

Filip Kozala, wyróżnienie, 11 lat

„Uśmiech dziecka”

Uśmiech dziecka piękny jest.
Każdy taki chciałby mieć.
I dla taty i dla mamy
najważniejszy jest – kochany.

Każdy tata, każda mama
już czekają nań od rana.
Bo to bardzo ważna rzecz,
żeby uśmiech w domu mieć.

A i babcia no i dziadek
także się radują,
gdy u wnuków swych kochanych
uśmiech obserwują.

Pamiętajcie więc dorośli
aby dla swej latorośli
miłość, szczęście dać codziennie,
wtedy uśmiech zawsze będzie.

Katarzyna Kraik, wyróżnienie, 14 lat

„Czego trzeba do uśmiechu?”

Co to za zmęczona, znudzona dziecka minka?
Niechaj się uśmiechu pojawi odrobinka.
Tato jak zwykle taką zaczyna rozprawkę:
Dziecko nie ma się czym bawić, kupmy zabawkę!
Ale zabawek w domu jest już sto tysięcy,
Więc prędko z twarzyczki znika uśmiech dziecięcy.
Mama widzi sprawę inaczej. To zła dieta.
Może masz ochotę na mamusi omleta?
Uśmiechu nie ma, chociaż pełny już jest brzuszek.
Czego to by chciał ten nasz malutki okruszek?
Rodzice siadają na naradę z misiami.
Bawcie się ze mną! Buzia tryska uśmiechami.

Julia Kuraś, wyróżnienie, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Dzieci robią sobie zdjęcie
I jest wielki uśmiech wszędzie

Jest już w sali, jest w piwnicy
Cała szkoła – „uśmiech” – krzyczy

Wszyscy bardzo są szczęśliwi
Co niektórych bardzo dziwi

Lecz nie dziwi mnie to wcale
Ja się bawię doskonale

Do piwnicy wpadła woźna
Która zwykle nie jest groźna

Choć nie umie śmiać się wcale
Bawi się też doskonale

Zobaczyła ją kucharka
I wylała zupę z garnka

Nikt nie przejął się tym wcale
Posprzątali całą salę

Pozbierali nawet śmieci
Najważniejszy uśmiech dzieci

Julia Lipnicka, wyróżnienie, 14 lat

„Niepamięć”

uśmiech dziecka
radosny szczęśliwy
fałszywy
za oczami błękitnymi jak niebo kryje się
rozpacz smutek żal złość
ukryte emocje
niepasujące do młodego wieku

kiedyś dziecko biegło szybko jak strzała
po polach lasach łąkach
skakało jak kangur
po trzepaku drzewach trawie
uśmiechało się pięknie
do obcych rodziny pani z przedszkola

uszy kiedyś takie odstające
teraz jakby smutno oklapły
piegi jak promienie słońca
przygasły
nos zadarty do góry
opadł ku ziemi
„tam gdzie jego miejsce”

cała twarz dziecka się zmienia
ukrywamy to pod maskami
pracy zmęczenia złej pogody
poszerzamy uśmiech
idziemy dalej
nie przejmujemy się dzieckiem w środku
zagubionym zniszczonym zapomnianym

przypominamy sobie o nim
gdy jest już za późno



Malwina Dendewicz, lat 7, wyróżnienie specjalne, ZSP PSP w Szybowicach

Oliwia Majek, wyróżnienie, 13 lat

„Uśmiech dziecka”

Co sprawia, że uśmiech na twarzy dziecka się pojawia?
Czy jest to droga zabawka, a może nowy kolega lub koleżanka?
Czy jest to ciekawa książeczka?
Czy wymarzona sukieneczka?

Co jest w głowach naszych milusińskich?
O czym śnią nocami?
Tomek z pewnością o klockach,
Zaś Gabrysia o smacznych pączkach.

Co się płacze w myślach wesołej młodzieży?
Pewnie wyjście do kina z rówieśnikami,
Albo spacer z przyjaciółkami.
Kaśka, Aśka i Zośka snują wielkie plany na przyszłe wakacje,
A Marek, Janek i Sławek przeglądają w komórkach nowe aplikacje.

Zastanówmy się, czego pociechy pragną najbardziej?
Myślę, że najważniejsze jest dla nich rodzinne wsparcie.
By w trudnej chwili ktoś powiedział im do ucha:
Nie martw się, to tylko chwilowa zawierucha.
By ktoś przytulił je i powiedział szczerze:
Kocham cię i w ciebie wierzę.

Kacper Max Lubiewski, wyróżnienie, 14 lat

„Czym jest uśmiech dziecka?”

Dla jednych nagrodą,
Dla drugich ulgą,
Dla innych znakiem, że było warto...

Jedni robią, co mogą, żeby go zobaczyć,
Drudzy czekają na niego godzinami.
Są tacy, którzy czekają na niego, niespokojnie przetykają ślinę
I tacy, co nerwowo przeczesują włosy.

Inni, gdy już przyjdzie, oddychają z wytchnieniem,
Pozostałym szklą się oczy.
Bo on nie jest zwyczajny,
Pospolity, powszedni, banalny -
Jest magiczny, hipnotyczny...

Magdalena Matel, wyróżnienie, 11 lat

„Uśmiech dziecka – niezwykle zjawisko”

Jest jedno zjawisko na świecie,
Które przegania zmartwienia i smutki.
Tym zjawiskiem jest uśmiech, jak wiecie,
Dawany przez dzieci malutkie.
Ten uśmiech powstrzyma twe łzy,
Gdy spojrzysz dziecku w oczy.
Tak szczerze ogarnie cię wstyd,
Że ze złością i z żalem po świecie kroczysz.
A uśmiech pociechy zawsze zwycięży
I zmieni twe życie na lepsze...

Maria Nowak, wyróżnienie, 12 lat

„Uśmiech dziecka”

Uśmiech dziecka, to jak wiecie,
Sprawa najważniejsza w świecie.
Wszystko zrobią dziś rodzice,
By ulepszyć dziecku życie.

Wstają wraz ze skowronkami,
Dbają o nas, wręcz z pasjami.
Zdrowa żywność, ubiór, ruch,
Są tak ważne, że aż strach.

Oj! Kosztują te frykasy.
Zatem praca jedna, druga, trzecia.
A tęsknota wzrasta w dzieciach.

Wystarczyłoby jedynie,
Być z rodzicem, no i tyle.
Na spacerze, hulajnodze,
Nie wciąż do outletu w drodze.

Uśmiech dziecka, to podstawa,
Bądźcie zatem z nami bliscy.
I szczęśliwi będziemy wszyscy.

Kamila Ogrodnik, wyróżnienie, 13 lat

„Uśmiech dziecka”

Uśmiech dziecka, chwila szczęścia na Ziemi
Uśmiech dziecka, smutek w radość zamieni
Uśmiech dziecka, promyk światła w ciemną noc
Uśmiech dziecka, dla zmarzniętego ciepły koc

Uśmiech dziecka, suta zapłata dla mamy i taty
Uśmiech dziecka, marzenie rodziców sprzed laty
Uśmiech dziecka, miłość męża do żony
Uśmiech dziecka, wielki skarb życia odnaleziony

Uśmiech dziecka, dar Boga dla dorosłych ludzi
Uśmiech dziecka, miłość w nas jeszcze obudzi
Uśmiech dziecka, czeka na Twoje działanie
Uśmiech dziecka! Usłysz to wołanie!

Marika Pawluś, wyróżnienie, 11 lat

„Nieznany świat”

Tam gdzie zaczyna się dziecięcy świat,
tam wyobraźnia i nikt nie ma wad.
I nie ma nauki, jest dużo czasu
i każdy robi dużo hałasu.
Każdy się lubi, każdy się śmieje,
każdy się bawi, każdy szaleje.
Dzieci się nudzą, dzieci cudują,
wszystkie coś mówią, wszystkie rysują.
Świat dziecka to dla dorosłych wielka tajemnica,
bo Oni nie wierzą, że w szafie jest czarownica,
a dzieci czują, wiedzą i słyszą,
że dziś to wróżki ich ukołyszają.

Agnieszka Pęcherz, wyróżnienie, 12 lat

„Jak wywołać uśmiech dziecka?”

Wczoraj byłam w przedszkolu,
tam poznałam dzieci sporo.

Wszystkie były uśmiechnięte,
jak uczniowie „na weekendzie”.

W kącie stały ich zabawki,
te w kropeczki, a te w kratki.

Nagle widzę smutne dziecko.
Co mu jest? Co poszło kiepsko?

Uśmiecham się więc do chłopca,
choć wiem, że jestem obca.

Czy on zechce mnie zauważyć?
Będzie uśmiech miał na twarzy?

Chętnie z nim się tu pobawię
i zły humor mu poprawię.

Bo nic tak nie rozwesela,
jak uwaga przyjaciela.

Jakub Piskorski, wyróżnienie, 12 lat

„Uśmiech dziecka”

Gdy na twarzy uśmiech gości,
Wszyscy mają moc radości.
Nic prostszego moi mili,
Byście dobrze się bawili!

Smutek każdy i zmartwienie,
Piękny uśmiech w mig rozwieje.
Od wieczora aż do rana,
Niech Twoja buzia będzie roześmiana!

Bartosz Podżus, wyróżnienie, 10 lat

„Uśmiech dziecka”

Nieważne, z której strony świata pochodzi.
Nieważne, w jakim kraju mieszka.
Nieważne jaki ma kolor skóry.
Ważne, że się uśmiecha.

Uśmiech dziecka jest zawsze prawdziwy i szczery.
To najlepsze podziękowanie.
Czasem wystarczy tak niewiele,
żeby pojawił się na dziecka twarzy.

Ważne, żeby uśmiech był zawsze.
Ważne, żeby był jak ubranie.
Ważne, żeby nigdy nie schodził z twarzy.
Bo uśmiech dziecka to największa radość dla mamy.

Marta Regimowicz, wyróżnienie, 12 lat

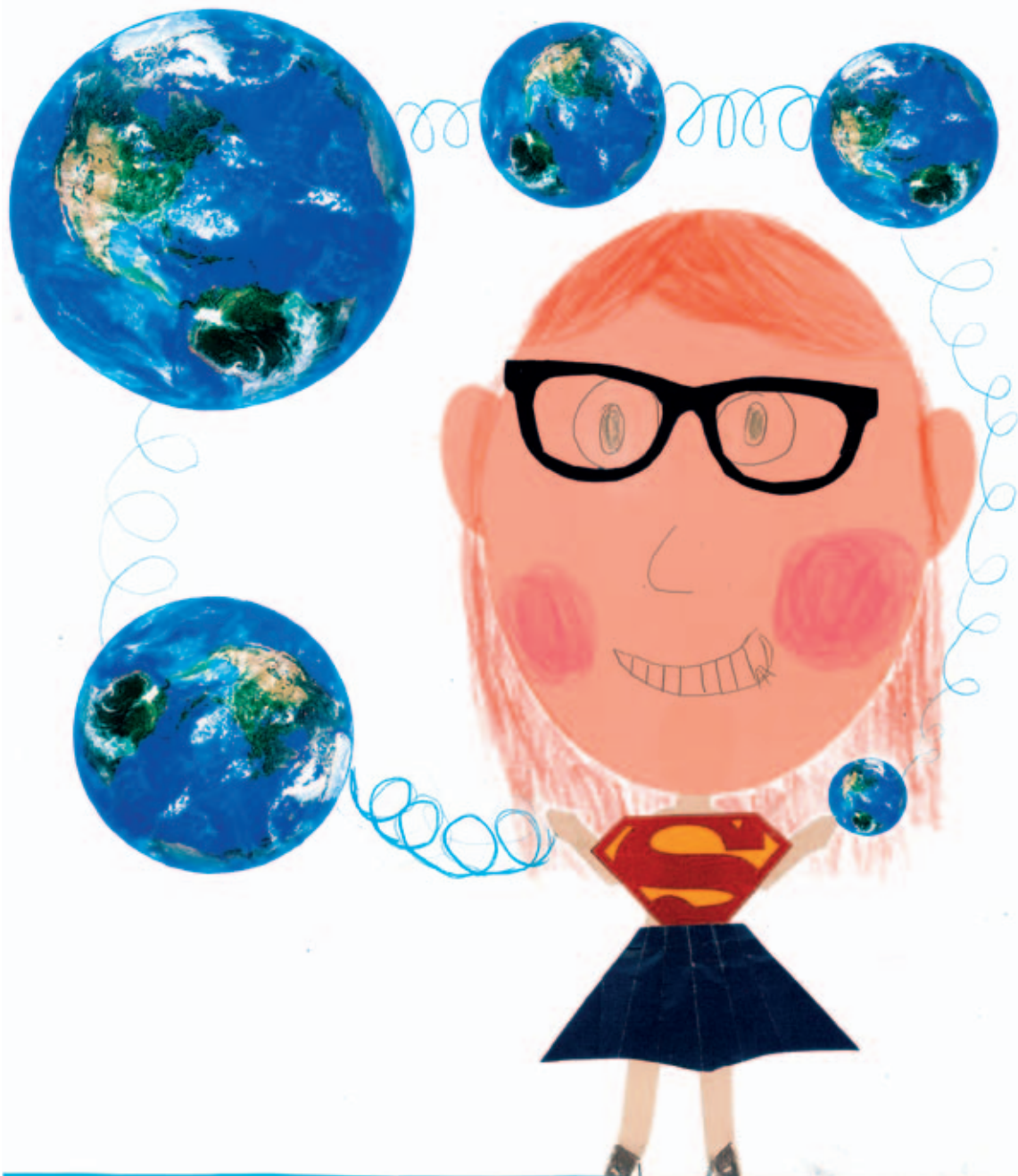
„Uśmiech dziecka”

Uśmiech dziecka jest jak promyk słońca,
można się na niego patrzeć bez końca.

Kiedy dziecko uśmiechem darzy,
na pewno coś miłego się zdarzy.

Uśmiech dziecka jest bezcennym gestem,
gdy widzę je uśmiechnięte również radosna jestem.

Uśmiechajmy się zawsze i wszędzie.
Wówczas świat dorosłych i dzieci piękniejszy będzie.



MOŻA. MAMA MA MOC!

Samuel Różański, wyróżnienie, 12 lat

„Uśmiech Dziecka”

Uśmiech dziecka jest jak słońce,
promienne i jasne.

Uśmiech dziecka jest jak morze,
głębokie i pełne życia.

Uśmiech dziecka jest niczym rosa,
orzeźwia.

Uśmiech dziecka jest jak mały piesek,
wywołuje radość.

Uśmiech dziecka jest jak wata cukrowa ☺
słodki.

Aleksandra Seńkowska, wyróżnienie, 12 lat

Moja rodzina jest zwariowana,
sportowiec brat, tancerka ja.
Mogę być zawsze marzycielką,
W czym wspiera mnie moja mama.

Brat ciągle jeździ na zawody,
Tato pracuje cały dzień,
Na głowie mamy wszystko od rana,
Gotować, uprać i tak dzień w dzień.

Tato co rano pędzi do pracy,
Brat na autobus zawsze gna,
Ja na rowerze jadę do szkoły,
A wszystko „ogarnia” nasza mama.

Bo w naszym domu jest jak w ulu,
Ciągle wesoło, głośno wrze,
Bardzo kochamy naszą mamę
I ona o tym dobrze wie!

Helena Skowicka, wyróżnienie, 11 lat

„Uśmiech dziecka”

Kiedy za oknami
ciągle pada i wieje,
kiedy smutną masz minę
i bawić się nie chcesz,
siostra gra na komputerze,
tato w kuchni coś zajada,
mama szybko coś wymyśli
i wypędzi smutki złe.
W chowanego się pobawi
i w planszówki zagra też.
Siostra przyjdzie, za nią tato
i zabawa ciągle wre.
Wszyscy bawią się wesoło.
We wszystkich radość jest,
żadnych smutków,
ani zmartwień,
tylko radości czas.

Vanessa Soluch, wyróżnienie, 10 lat

Czasem powoli, nieśmiało
Wypelza na buzię małą
Czasem jak dzwoneczków dźwięk
Leci w świat daleko hen...

Uśmiech dziecka jest wspaniały
I ten duży i ten mały
Kropelkami, perełkami
Rozpromieni cały świat

Od jego dźwięku
Smutek precz umyka
Uśmiech dziecka
Najpiękniejsza muzyka

Więc często się uśmiechajmy
Radośnie na cały głos
Bo uśmiech wielką ma siłę
Bo uśmiech dziecka ma moc!

Filip Sptawiński, wyróżnienie, 9 lat

„Uśmiech”

Kiedy jest mi smutno,
kiedy jest mi źle,
to mój starszy brat
rozwesela mnie.

Wie jak to zrobić,
wie jak ze smutku przejść do radości.
Kiedy mi uśmiech znika,
niezastąpiony brat się przyda.

Adrian Szefer, wyróżnienie, 13 lat

„Radosny uśmiech dziecka”

Czasami dziecko sprawia problemy wychowawcze.
Nie pomoże dorosłemu w trudnych życiowych sytuacjach.
Jednak gdy na jego twarzy uśmiech zawita,
Wnet żyć się zachciewa, bo człowiek rozkwita.
Ta jedna rzecz sprawia, że rodzice zapominają o bożym świecie.
Tak to już w życiu bywa, przecież sami wiecie!
Cała rodzina żyje beztrudno, wesoło, spokojnie.
A więc pamiętaj, Rodzicu Drogi!
Chwytaj szczęście za rogi!
Ciesz się razem ze swym dzieckiem kochanym,
Które szczęście ofiaruje,
Ale w zamian niczego nie oczekuje.
Może trochę uśmiechu, radości.
Niech zatem ten uśmiech zawsze w sercach gości.

Agnieszka Walczyk, wyróżnienie, 13 lat

„Kilka słów o dziecięcym uśmiechu”

Choć deszcz na dworze, ziąb straszny i burza,
Choć pracy dużo i szef czasem wkurza,
Uśmiech córki lub syna duszę uspokoi,
Smutki w kąt odsunie i nerwy ukoj.

O śmiech dziś nietrudno, lecz uśmiech to sprawa inna,
Uśmiech to sfera relacji niewinna,
To odpowiedź na jakieś zachowanie,
Na powiedzenie: skarbie, misiu czy kochanie.

Uśmiech dziecka to dar, który nie ma ceny,
To subtelne uniesienie kącików warg – przecież – powiemy,
Ale myśląc dłużej, wnioski same cisną się na usta...
Przestrzeń bez dziecięcego uśmiechu byłaby zbyt pusta.

Anna Wierzchowiec, wyróżnienie, 11 lat

„Uśmiech dziecka”

Uśmiechnij się, to nic nie kosztuje
Śmiech jest radosny, dobrą zabawę gwarantuje,
Mleczne ząbki pokazuje,
I zębowa wróżkę przywołuje.
Emilka ma na podwórku konia,
Choć wołałaby słonia.
Hipopotam to zwierzę z Afryki.
Dziki hipopotam?... Tak, bardzo dziki.
Zima nadchodzi, w kożuszki się stroi
I przed wiosną przychodzi
Echo po górach się nosi
Chcąc nie chcąc, zimą lawiny przynosi.
Koniec nadchodzi tego wierszyka
Ale liczę, że uśmiech z twarzy nie znika.

Krzysztof Wierchowicz, wyróżnienie, 9 lat

„Uśmiech dziecka”

120 kalorii spalasz podczas śmiechu
- rzecz niby poważna lecz warta grzechu.
Być albo nie być, tyć czy się głodzić,
Szekspir już nie żyje,
Lecz Ty znajdź odpowiedź!

Emilia Woźniak, wyróżnienie, 13 lat

„Sonet uśmiechnięty”

Uśmiech dziecka to promyczek, który smutki koi,
Uśmiech dziecka to lek, który wszystkie rany goi,
Uśmiech dziecka to podziękowanie za dorosłych wysiłek,
Uśmiech dziecka ma więcej kalorii, niż duży posiłek.

To wartość, której nie mierzą indeksy giełdowe,
To wyraz szczerości, bijący wszelkie serdeczności na głowę,
To radość wielka, która serca rozpromienia,
To mała kropelka, która lód w wodę zmienia.

Ma wielką sprawczą moc,
Ma światło, które rozpromienia noc,
Ma siłę, z jakiej dorośli nie zdają sobie sprawy.

Jest szczery, nie ma obawy,
Jest czysty, uczciwy i nieudawany,
Jest wielką nagrodą dla Taty i Mamy .

Mateusz Ziemia, wyróżnienie, 11 lat

„Uśmiech dziecka”

Jak promyk słońca ogrzewa ziemię,
tak uśmiech dziecka jest jak ciepłe wspomnienie.
Jak tęcza na niebie po burzy,
jak czterolistna koniczyna, która szczęście wróży.
Jak talizman w sercach rodziców,
jak radość z dotarcia do szczytu.
Uśmiech dziecka jest tak radosny
jak piękny śpiew słowika, jak pierwszy dzień wiosny.
Jak spadająca gwiazda, co spełnia życzenia.
Jak pomocna dłoń, gdy nadziei już nie ma.
Uśmiech dziecka to najpiękniejszy kwiat.
Z uśmiechem dziecka piękniejszy jest świat!



Szymon Bajger, lat 8, wyróżnienie specjalne, PSP nr 20 w Opolu

opowiadania



Kaja Gawrecka, 1 miejsce, 14 lat

„Złomiarz”

13 lipca, dokładnie 5 dni temu, próg mojego domu przekroczył nowy członek rodziny. Do tej pory składała się ona z czterech osób. Mojej mamy, mojego taty, mojej siostry i oczywiście ze mnie – Cześć! Nazywam się Antoni Anter i mam niecałe 11 lat.

Wracając jednak do przybysza. Jest to kot, przez którego „zachorowała” cała moja rodzina. Mama, pedantka kochająca porządek, przestała zwracać uwagę na bałagan robiony przez kota. Tata nie lubiący jeździć na zakupy, objechał całe Opole w poszukiwaniu coraz to nowszych przysmaków, a moja siostra zwyczajnie przestała mi przeszkadzać. Jak sierściuch znalazł się u mnie w domu? Usiądźcie wygodnie, bo to będzie długa historia.

Pewnego razu, gdy moja rodzinka wybrała się na spacer dróżką prowadzącą do pobliskiego lasu obok złomowiska, drogę przebiegł nam niewielki czarno-biały kotek, trzymający w pyszczku małą puszkę po rybach. Chyba po szprotach...

Nie wiem czy już mówiłem, ale nie znoszę wszelkiego rodzaju pchlarzy, dlatego moja reakcja wyglądała następująco: pierwszym moim ruchem było odskoczenie, a drugim krzyczenie na głos by ktoś o dobrym sercu zlitował się i odsunął ode mnie to stworzenie. Jednak nikt mnie nie wysłuchał i jedynie co zrobili, to zaczęli głaśkać i mówić coś w stylu: „O mój biedny koteczek, zgubił się” albo „Chyba jest maleństwo głodne”.

Postanowiłem uratować moją rodzinę niczym księżę na białym koniu. Podszedłem ostrożnie, by bestia z zabójczą puszką po rybach przypadkiem nie zaatakowała mnie swoją słodyczą i szturchałem lekko tatę. Jak się spodziewałem poziom przecukrzenia wynosił 100%, czyli marne szanse na odratowanie towarzyszków

bronii. Mówi się trudno. Życie... Bywa... Ale chwilowe stracenie kompanów nie było najstraszniejszą rzeczą, jaka mogła mnie spotkać. Nie, nie. To był, tak naprawdę, pikuś przy tym co, stało się po chwili. Otóż, moja rodzina postanowiła zaadoptować tego „słodkiego biedaka”. W tej chwili mentalnie walnąłem się otwartą dłonią w czoło. Skoro już podjąłem się roli zbawiciela, musiałem uświadomić wspaniałej trójcy, co mama trzyma w rękach. Powoli i spokojnie powiedziałem: „Mamo. Trzymasz na rękach stworzenie nieczyste i nie tylko nieczyste w przenośni, ale też w rzeczywistości. On mieszka na śmietniku. Jest złomiarzem. Zbiera puszkę. I pewnie też inne rzeczy lub gatunki, np. pchły!”

Reakcja mojej mamy przerosła moje oczekiwania. Myślałem, że puści sierściucha i w te pędy poleci odkazać ręce toną żelu antybakteryjnego. A co ona zrobiła? Przycisnęła kota jeszcze bardziej do siebie, aż oczy mu wyszły z orbit i z uśmiechem powiedziała: „Złomiarz! Idealne imię!”. Nie wiem, co ona widziała w tym imieniu takiego idealnego, ale gdyby mnie tak nazwała... W tej chwili cieszyłem się ze zwykłego Antka. Rodzina zdawała się mnie nie zauważać. Kot wczepiony w mamę, tatko tuż za nią wpatrzony w kota, a siostra gdzieś między nimi...

Tak oto Złomiarz wylądował w rodzinie Anterów. Wszyscy, poza mną oczywiście, bawili się z nim, głaskali, tulili i mówili do niego śmiesznymi głosami, jak do małego dziecka. Przez kolejne 4 dni omijałem go szerokim łukiem. Wchodziłem na szafki, stołki, blaty kuchenne, a gdyby się dało, to wszedłbym nawet na żyrandol. Odtąd wszędzie zabierałem ze sobą zabawkową wędkę na wypadek, gdyby Złomiarz zbliżył się do mnie na mniej niż 5 metrów. Za wszelką cenę nie chciałem mieć z nim do czynienia. Nie chciałem go karmić, bawić się z nim czy pilnować go gdy był na podwórku. Byłem prawdziwym, niewzruszonym twardzielem. Niestety, na każdego przychodzi czas. Na mnie przyszedł w piąty dzień pobytu sierściucha w domu. Jak to się stało? Dlaczego granica 5 metrów została złamana?

Otóż wieczorem, gdy rodzinie oglądaliśmy film, mój telefon zaczął dzwonić. Poszedłem na piętro do swojego pokoju. Szedłem ciemnym korytarzem. Minąłem pokój rodziców, jednak tak, jak szybko minąłem jego drzwi, tak szybko zawróciłem i zajrzałem do środka. Złomiarz bawił się gumową kulką od mojego zabawkowego karabinu. „Jak ty śmiesz?” zapytałem wyciągając w jego stronę palec. „Oddaj!” krzyknąłem i rzuciłem się na złodzieja. Jednak zanim odebrałem mu swoją własność zatrzymałem się na chwilę i kucnąłem. Patrzyłem jak Złomiarz goni piłeczkę po całym pokoju. Łapie, puszcza, skacze. Musiał spędzić chwilę pod łóżkiem, bo na wąsach miał kawałek pajęczyny. W pewnym momencie kuleczka pchnięta jego małą łapką zaczęła turlać się w moją stronę. Złapałem ją i zastanawiałem się, co zrobić. Moje serce miękło. Po chwili namysłu postanowiłem rzucić piłeczkę z powrotem do kotka. Spodobała mi się zabawa z nim. „Mózg-przesłodzenie-wyższy-poziom” – pomyślałem. Nagle w drzwiach pokoju stanęła moja starsza siostra, a za nią tata i mama. Wszyscy zaczęli się ze mnie śmiać, a ja jedynie z uśmiechem powiedziałem:

– „No co? Sam cukier:)”

SUPER MOC MAMUSI !!



Emilia Pikos, II miejsce, 11 lat

„Śmiejemy się w naszej rodzinie” – Uśmiech w mojej rodzinie

Dzień dobry. Jestem pogodną, uśmiechniętą dziewczynką. Lubię, gdy wszyscy przy mnie są radości i weseli. Wtedy mi też dopisuje dobry humor. Uważam, że nawet najgorszy nastrój miją, gdy pojawia się śmiech. Wiem, jak poprawić humor moim rodzicom. Po prostu mówię im codziennie: „Kocham Was”.

Jestem jedynaczką. Mam czworonożnego przyjaciela – psa Toffika, który nie pozwala mi się nudzić. Jest szalony, ma mnóstwo energii. Nauczyłam go paru sztuczek. Czasami śmiejemy się z nich do łez.

Uwielbiam, gdy rodzice mają wolny czas. Przeważnie jest to sobota i niedziela. Wtedy układamy plan, jak spędzić wspólne chwile. Jeździmy na przejażdżki rowerowe, sprawdzamy, co się dzieje w okolicy, zwiedzamy ciekawe miejsca.

Moim hobby są kabarety. Niekiedy ich nie rozumiem, tych politycznych, ale wyszukuję te wesołe i puszczam je rodzicom. Najczęściej przy wspólnym posiłku. Rodzice czasami są zmęczeni moimi kabaretowymi pomysłami, a czasem śmieją się do rozpuku. Niektóre pomysły wykonuję z moją koleżanką Gosią i same robimy przedstawienia dla naszych rodzin. Podobne zainteresowania ma mój wujek – „mały wujek”. Tak go nazywamy, bo jest bardzo niski. Gdy zasiada do stołu, to wiemy, że będzie wesoło. Opowiada jeden kawał za drugim.

Čzęsto przyjeżdżają do nas moi dziadkowie. Babcia mówi:
– Chodź, zagramy w grę, by poprawić pamięć.

Wtedy siadamy razem i gramy w „Mądrą sówkę”, „Gorącego ziemniaka” lub „Rodzinne kalambury”. Doskonale się bawimy i nie raz moja babcia osiąga lepsze wyniki w wymyślaniu niż dziadek.

Niby jest mu przykro, ale robi śmieszne miny i znowu jest wesoło. Dodaje przy tym:

– Dobrze, przecież śmiech to zdrowie!

Babcia, gdy mnie widzi, to mnie przytula i zawsze mówi:

– Ale ty duża jesteś!

Śmieję się, bo czuję się wtedy, jakbym była olbrzymem.

Uwielbiam nasze rodzinne wieczory spędzane na sofie. Wspólnie rozmawiamy, a nasz piesek, po całym dniu drzemki, zaczyna wyczyniać cyrkowe sztuczki.

Gdy miałam pięć lat, tata postanowił spełnić moje marzenie. Zachwyciłam się drewnianym domkiem u koleżanki. Jęczałam w domu cały czas.

– Też chcę mieć drewniany domek z krzesłami i półeczkami w środku...

– O? A gdzie my taki znajdziemy? – zastanawiał się tata.

Pewnego dnia podjechał pod nasz dom samochód dostawczy. Mama zapewniała mnie, że to meble i zakazała wychodzenia na dwór. Nie posłuchałam. Zakradłam się do auta, gdy kierowca wyszedł. Wszyscy mnie szukali. Potem, znaleźli mnie przytuloną do ślizgawki w samochodzie. Do dziś śmiejemy się z tej sytuacji.

Często moi rodzice są zmęczeni i smutni. Wtedy chciałabym zostać dobra wróżką i mieć czarodziejską różdżkę. Sprawiałabym, żeby mama i tata nie musieli tyle pracować. Siedzielibyśmy wspólnie w naszym ogródku. Tam mamy mnóstwo roślin, bo mama uwielbia kwiaty. Pilibyśmy lemoniadę, samodzielnie przeze mnie wyciskaną oraz liczylibyśmy motyle na pachnącej budlei i lawendach. Spędzamy tak czas, ale jakbym była czarodziejką, trwałoby to nieskończenie długo.

W mojej rodzinie codziennie jest zabawnie. Staram się jak najwięcej uśmiechać, bowiem wiem, że podarowany uśmiech zawsze wraca.

Jagoda Bąk, III miejsce, 11 lat

„Śmiejemy się w naszej rodzinie”

W małym miasteczku mieszkała pewna rodzina. Członkami tej rodziny byli: mama i tato oraz dwie dziewczynki – Karolina i Asia. Karolina była o dwa lata starsza od swojej siostry, więc rodzice podarowali jej psa, gdyż uważali, że dziewczynka dobrze się nim zajmie. W rodzinie od dawna toczył się spór, czy pies także może być jej członkiem. Niestety, wszyscy jeszcze się nad tym zastanawiają, więc może innym razem dowiemy się czy coś wymyślili.

To może zacznę już swoją opowieść...

Wszystko zaczęło się pewnego zimowego popołudnia. Najstarsza córka wróciła właśnie ze szkoły w wyjątkowo złym humorze. Okazało się, że tego dnia była niezapowiedziana kartkówka, która najwyraźniej nie poszła Karolinie zbyt dobrze. Ale co to? Nagle z długiego korytarza wybiegł pies dziewczynki. Niby nic nadzwyczajnego, ale coś było nie w porządku. Tylko co?

– Burek! Czemu jesteś niebieski?? – właścicielka czworonoga chyba się zdziwiła, no bo przyznajcie sami, niebieski pies, to trochę niecodzienny widok.

– Jak to *niebieski* córeczko?! – mama z zainteresowaniem wyglądnęła z kuchni i dopiero teraz zobaczyła sierść Burka.

– Ach, pewnie wpadł w pudełko z farbami – westchnęła mama i dokładnie w tej samej chwili rozległ się wrzask Asi:

– Karolina! Twoje łóżko!

Dziewczynka szybko rzuciła plecak i w jednym kapciu pobiegła do swojej sypialni. To co tam zobaczyła przeraziło ją. Po białej jak śnieg (do niedawna) pościeli spływała stróżkami mieszanina kilku kolorów farb, co tworzyło niezwykle malowniczy widok, choć

perspektywa przyszłego sprzątanego bynajmniej nie była zachęcająca. Karolina zrobiła krok do przodu, jak się później okazało, to był błąd. Dziewczynka stanęła na jednym z klocków siostry, straciła równowagę i... wpadła prosto w upaćkaną pościel. Usłyszała głośny śmiech siostry i po chwili spojrzała w lustro. Zrozumiała co tak rozbawiło Aśkę – całą twarz miała brudną od farb, które wylał Burek. Karolina popędziła do łazienki, w obawie, że niespodziewany makijaż po wyschnięciu nie zejdzie z jej buzi. Na szczęście po dwudziestu minutach intensywnego szorowania twarz Karoliny wyglądała całkiem normalnie. Dziewczynka weszła do salonu i włączyła telewizor. Z łazienki dochodził jednostajny szum pralki, co oznaczało, że pościel niedługo będzie w stanie zdatnym do użytku. Wyglądało na to, że wszystko wraca powoli do normy. Czy aby na pewno? Przecież Burek wciąż był niebieski! Karolina zaczęła szukać swego pupila.

W salonie go nie było, w kuchni też nie. Może jest w łazience? Niestety nigdzie nie znalazła nawet śladu psa (niebieskie ciapy chyba byłyby trudne do przeoczenia). Dziewczynka już chciała zrezygnować z dalszych poszukiwań, gdy usłyszała szczekanie. Przytłumione dźwięki dochodziły z wielkiej szafy w sypialni rodziców. Karolina natychmiast tam pobiegła i z trudem otworzyła ciężkie, drewniane drzwi. Burek od razu wyskoczył z tymczasowego miejsca pobytu, niemal przewracając dziewczynkę. Zwierzę popędziło do salonu, a jego właścicielka za nim. Gdy już zaniósła amatora plakatówek do łazienki i ten ujrzał wannę wypełnioną po brzeg wodą, w popłochu wyrwał się dziewczynce. No tak, Burek nie lubił kąpieli. Jak mogła o tym zapomnieć?!

Powoli skierowała się do ogrodu, gdzie za krzakiem forsycji siedziało przerażone, niebieskie stworzenie. Karolina nie zamierzała tym razem pozwolić psu uciec. Wyjęła smycz i już chciała przekroczyć próg domu, gdy Burek dostrzegł otwarte drzwi wejściowe. Pies pociągnął dziewczynkę na ulicę i puścił się biegiem po chodniku. Przechodnie zdziwieni zerkali na niebieskiego psa cią-

gnącego zdezorientowaną dziewczynkę. Po dziesięciu minutach Burek zmęczył się ucieczką i Karolina mogła zaprowadzić go do domu. Godzinę później pies był czysty i dziewczynka mogła chwilę odetchnąć przy swoim ulubionym serialu. Nagle usłyszała krzyk mamy:

– Moje ubrania!

Karolina weszła do pokoju mamy i zobaczyła stertę ciuchów. Wszystkie miały na sobie kolorowe plamy. Kilka minut później łóżko było wypełnione różnymi strojami, a mama dziewczynki wciąż wyciągała nowe sukienki i koszulki, kręcąc głową z niezadowolaniem. Dziewczynka wiedziała, że podczas najbliższych dwóch dni pralka nie będzie miała ani chwili wytchnienia.

Jakiś czas później wszyscy domownicy z rozbawieniem wspominali te wydarzenia, szczególnie zapadło im w pamięć to jak Asia uparcie powtarzała, że wyraźnie słyszała jak pralka żałośnie wzdycha:

– Mam już dość, chyba niedługo się popsuję przez to pranie...

Zastanawiam się też co teraz robi Burek – zajrzyjmy do pokoju... Okazuje się, że podczas nieuwagi Karoliny Burek ogryzł obicie fotela i teraz warczy na włączony telewizor. Pozostaje mieć nadzieję, że fotel nie był zbyt drogi, jednak i z tego „łakomstwa” Burka cała rodzina kiedyś będzie miała ubaw.

No tak, ale to wszystko przecież zmyśłone. A w mojej rodzinie? Cóż, w mojej rodzinie bywa podobnie, z jednym wyjątkiem – z reguły jest zabawniej.



Wiktoria Karbownik, lat 7, wyróżnienie specjalne, PSP w Malni

Laura Bider, wyróżnienie, 13 lat

„Niezwyczajna opowieść o niezwykłej rodzinie”

W małym miasteczku znajdował się Sierociniec Pana Kostencjusza, w którym mieszkało ośmioro dzieci. Pewnego dnia trafiła tam też Łucja. Dziewczynka miała dziesięć lat i była bardzo nieśmiała oraz wystraszona. Kostencjusz zaprosił Łucję do wspólnej gry, która została dawno temu wymyślona przez Amandę, gospodynię sierocińca. Gra polegała na podejściu do wybranej osoby i zapoznaniu się z nią. Potem podchodziło się do innego uczestnika. Łucja w ten sposób poznała dwoje przyjaciół, Aleksa i Dianę. Bardzo lubiła spędzać z nimi czas, lecz zależało jej na prawdziwej rodzinie.

Mijały dni i miesiące.

– *Din don!* – usłyszano dzwonek do drzwi, Amanda poszła otworzyć.

– *Dzień dobry!* – przywitała się pani Bumer – *Czy mogę zaadoptować chłopca, który ma mniej niż dwanaście lat?*

– *Dzień dobry. Oczywiście, zaraz zawołam pana Kostencjusza* – gospodyni miała wątpliwości, ponieważ pani Bumer wydawała się bardzo wymagająca. Niby dobrze, ale jeśli będzie wymagać bardzo dużo od chłopca to... – przecież to tylko dziecko. W tym momencie zszedł pan Kostencjusz.

– *Czyli chce pani chłopca?* – zapytał.

– *Tak* – powiedziała stanowczo pani Bumer. Kostencjusz bez zastanawiania się oddał Aleksa.

– *Proszę! To jest Aleks, ma jedenaście lat, bardzo pracowity i dobroduszny chłopiec* – dodał Kostencjusz. – *Proszę tylko dopełnić formalności.*

Gdy Amanda usłyszała tę rozmowę, poinformowała Dianę i Łucję. Obie dziewczynki ucieszyły się, że ich przyjaciel będzie miał rodzinny dom.

– *Diano! Chodź, pożegnamy się!* – narzuciła radosnym głosem Łucja. Lecz gdy zeszły razem po schodkach na dół, zauważyły tę kobietę stojącą przy Aleksie. Wygląd pani Bumer zdziwił dziewczynki. Mimo wszystko podeszły do przyjaciela.

– *Bardzo cieszymy się, że będziesz miał rodzinę* – powiedziały dziewczynki.

– *Też się cieszę, ale czy to znaczy, że już nie będziemy przyjaciółmi?! –* zapytał Aleks nieco zaniepokojony.

– *Nieee! Zawsze będziemy przyjaciółmi, na całe życie* – powiedziała Diana.

– *Zawsze będziesz dla nas starszym bratem* – dodała Łucja.

Po trzech miesiącach przyszli państwo Karpenter, tym razem po Dianę. Łucja była smutna wiedząc, że zostanie sama. Były jeszcze inne dzieci, ale dziewczynka nie utrzymywała z nimi kontaktu i bała się, że już ciągle będzie sama.

– *Łucjo, nie martw się! Państwo Karpenter to bardzo mili ludzie i powiedzieli, że będę mogła do Ciebie przychodzić* – powiedziała zachwycona Diana. Dziewczynki znów pożegnały się, tym razem ze sobą. Minął tydzień od odejścia Diany.

– *Łucjo!* – zawołał Kostencjusz.

– *Tak?! –* odpowiedziała dziewczynka, wychylając się zza drzwi pokoju.

– *Ktoś do ciebie* – z uśmiechem powiedział pan Kostencjusz.

– *Diana!* – Łucja wykrzyknęła z radością.

– *Cześć! Mieszkam niedaleko sierocińca i dwa domy dalej od Aleksa* – opowiadała Diana.

– *Ale super!* – odpowiedziała zaciekawiona Łucja. Dziewczynki rozmawiały do późna, aż Diana musiała już wracać.

Minął kolejny tydzień a była zima, dlatego pierwsze płatki śniegu spadały z szarego i ponurego nieba. Łucja wpatrywała się w lampę za oknem i wyobrażała sobie, że ma rodzinę, z którą spędzi nadchodzące święta. Do świąt zostało zaledwie cztery dni.

Znów ktoś zapukał do drzwi, tym razem po Łucję. Dziewczynce przedstawił się pan Berry.

– *Witaj Łucjo, miło mi cię poznać. W mojej okolicy również są dzieci, może się z kimś zaprzyjaźnisz? Mam też pieska Brutusa* – powiedział pan Berry. Dziewczynka się ucieszyła, ponieważ nigdy nie miała zwierzątka. Gdy pan Berry z Łucją dotarli na miejsce, mężczyzna był trochę zaniepokojony.

– *Łucjo czy chcesz coś zjeść? Moja żona zrobiła dzisiaj pyszną zupę ogórkową, powinna być za godzinę* – dopytywał pan Berry. Łucja zgodziła się i weszła do domu, potem zauważyła Brutusa. Sprawiał wrażenie miłego kundelka. Dziewczynka jedząc zupę, w oknie zobaczyła idącą do domu obok Dianę. Ucieszyła się i poszła się szybko przywitać.

Po dwóch dniach Łucja poznała całą rodzinę i ustaliła z państwem Berry, że będzie zwracać się do nich jak do rodziców. Dziewczynka opowiedziała o sobie i swoich historiach z sierocińca. Mama Łucji zaproponowała, aby jej przyjaciele spędzili z nimi święta. Po dwóch dniach były prezenty pod wystrojoną choinką, dwanaście domowych potraw na stole, sianko pod obrusem, pierniki wcześniej udekorowane z rodziną oraz ciepłe mleko. Dorośli byli szczęśliwi, widząc prawdziwy uśmiech dzieci.

Natalia Kolonko, wyróżnienie, 10 lat

„Śmiejemy się w naszej rodzinie”

Moja rodzina to: mama, tata, moje siostry: Klaudia (16 l) i Kasia (5 lat), no i oczywiście ja (Karolina, 10 lat).

Dzisiaj mama przysłała z pracy zła jak osa. Tata (jako „domowy śmieszek”) próbował ją rozbawić. Założył spodnie na głowę, tańczył „Macarenę”, pomalował się szminką Klaudii i paradował w spódniczce Kasi. Całość wyglądała tak komicznie, że mama zaczęła się śmiać i to już przy „Macarenie”. Najśmieszniej było, kiedy Kasia próbowała go naśladować. Pękaliśmy ze śmiechu!

Nazajutrz niestety tata zapomniał włączyć budzik i wstał o 7.00 (do pracy miał na 8.00 i ok. 30 minut drogi). Zerwał się z łóżka, założył byle co ze swojej szafy (mama ma oddzielną) i pobiegł do łazienki (całość zajęła mu ok. 10 minut). Chciał iść na spacer z psem, ale zapomniał zabrać psa i musiał się wrócić (mieszkamy na 10 piętrze i nie mamy windy). Przez to wszystko nie zjadł śniadania! Na szczęście mama przygotowała mu kanapkę do pracy. Ja nic nie mogłam w tej sprawie zrobić, bo leżałam chora w łóżku. Do tego Kasia zjadła cały słój nutelli i jęczała z bólu. Mama dawno była już w pracy i nie odbierała telefonu, więc założyłam szlafrok i poszłam do pani Jadzi (spod nr 32). Pani sąsiadka powiedziała, że najlepszym sposobem będzie miętowa herbata. Niestety, po dokładnym przeczesaniu szafek (było ich dokładnie 13) okazało się, że nie ma w nich mięty. Ba, po przeszukaniu całego mieszkania okazało się, że nigdzie nie było ziółek. Pani Jadzia powiedziała, żebym skoczyła do pana Stasia (spod nr 31), a ona w tym czasie zagotuje wodę na herbatę. Pobiegłam więc naprzeciwko i zapukałam. Uśmiechnięty staruszek otworzył drzwi prawie natychmiast.

– Co się stało Karolinko?

– Ma pan miętę? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Tak, oczywiście! – zawołał uradowany staruszek – Wreszcie ci się odwdzięczę, Karolciu.

Z tym odwdzięczeniem się to było tak: Labrador pana Stasia (Mous) uciekł mu na spacerze w parku. Zapłakany staruszek pobiegł (o ile można to było nazwać biegiem) czym prędzej do nas. Wpadłam na pomysł, że można będzie pójść do parku i potrząsać po drodze pudełkiem smakołyków. Wszystkie psy z okolicy od razu do nas przybiegły (niektóre ciągnąc właścicieli po chodniku). Mous był na czele pochodu! Ale było dużo śmiechu...

No, ale wróćmy do historii z herbatą. Poszłam więc za sąsiadem do jego kuchni. Staruszek pogrzebał w szafkach i po chwili z triumfem uniósł w górę słoik.

– Mam! Zawołał i wręczył mi go.

– Dziękuję – powiedziałam grzecznie i wybiegłam z mieszkania.

Pani Jadzia zadowolona ze słoja wrzuciła kilka listków do dzbanka i zalała wodą.

– Zanieś to Kasi i pozdrów ją ode mnie! – zawołała w progu.

Pobiegłam do Kasi. Kiedy wbiegłam do domu, Kasia spała w najlepsze, a we włączonym telewizorze huczała ulubiona bajka mojej młodszej siostry „Leniuchowo”.

Katarzyna Kraik, wyróżnienie, 14 lat

„O tym jak misiu zwiedzał Wieżę Piastowską”

Kiedy byłam małą dziewczynką, nie rozstawałam się z moim smoczkiem, na który mówiłam „meme” oraz z małym pluszowym misiem, którego nazywałam Mimi. Zabierałam go ze sobą wszędzie: na obiad, na spacer do parku, odwiedzając dziadków czy na zakupy z mamą.

W pewną słoneczną niedzielę rodzice zabrali mnie do Opolą do zoo. Trochę obawiałam się opowieści taty o tym, że wpuszczanie niedźwiadków do zoo może być zabronione, dlatego wchodząc do ogrodu, ukryłam Mimi pod bluzą. Kiedy oglądaliśmy małpki, żyrafy i inne zwierzęta, mama robiła zdjęcia, a ja wysoko podnosiłam misia, żeby też zobaczył zwierzątka. Wychodząc z zoo pamiętałam jednak, żeby dobrze ukryć pluszaka. Dlatego, że zostało jeszcze trochę czasu, pojechaliśmy na Wieżę Piastowską. Mnie oczywiście bardzo bolały nogi, więc nie mogłam wchodzić sama. Misia też bolały nogi, więc ja go niosłam, a mnie niósł tata. Widoki z wieży były naprawdę ładne. Mama nie mogła się powstrzymać i zrobiła kilka zdjęć. Byłam zmęczona i podczas schodzenia zasnęłam.

Wracaliśmy do domu, gdy dziesięć kilometrów za Opolem zadałam strategiczne pytanie: – „Gdzie jest Mimi?!”. Mama szukała misia w mojej bluzie, w torbie, na podłodze samochodu, a wszyscy doradzali, gdzie może być. – „Sprawdź w swojej torebce” – podpowiadał tata – „Tam może być wszystko”. Sytuacja stała się krytycznie poważna. Samochód trzeba było zatrzymać i sprawdzić bagażnik, ale również i tam nie było mojego nieodłącznego towarzysza. Gdzie zgubił się Mimi? Może w zoo, może na Wieży Piastowskiej, a może podczas wsiadania do samochodu. Oczywiście każdy miał swoje zdanie, ale mama, jak to prawdziwa opolska matka, podsu-

nęła pomysł sprawdzenia zdjęć z aparatu. Z całą pewnością miś był w zoo. Kilka kolejnych zdjęć potwierdziło, że miś wyszedł z tamtego miejsca. Kolejna fotografia była oczywistym dowodem na to, że miś oglądał panoramę Opola z Wieży Piastowskiej. Z kolei ostatnie wykonane zdjęcie wskazywało na to, że misiowi tak spodobał się widok, że nie wsiadł z nami do samochodu. Biorąc pod uwagę wielkość moich oczu, sprawa była naprawdę poważna. – „Nie ma rady, trzeba wracać” – zdecydowała mama – „Przecież Mimi to członek rodziny”.

Znów wjechaliśmy do Opola. Przed nami pojawiła się Wieża Piastowska. Zatrzymaliśmy się, wysiedliśmy z auta i tata z naprawdę zmartwioną miną spytał:

– „I co, mam tam wejść?”

– „A co, myślisz, że misio sam do Ciebie zejdzie?” – odpowiedziała mama – „Jest już późno, nie ma czasu” – stwierdziła zdecydowanie.

Miłe panie z kasy biletowej bez problemu zgodziły się na przeprowadzenie akcji ratunkowej. Tata miał właśnie zacząć wspinać się po schodach, kiedy z przeciwnej strony zobaczył schodzących turystów niosących na rękach uśmiechniętego misia. Radość taty była podwójna – nie dość, że nie musiał wchodzić na górę, to jeszcze mógł udowodnić mamie, że pluszowy niedźwiadek zszedł na dół. Jednak moja radość była największa. Mimi uratowany!

Dzisiaj śmiejemy się wspólnie z tej historii, jednak wtedy, szczególnie dla mnie, rozgrywał się dramat. Dzięki sprytowi mamy, która wpadła na pomysł sprawdzenia zdjęć, udało się szybko odnaleźć zgubę.

Marek Lenarczyk, wyróżnienie, 14 lat

„Śmiejemy się w naszej rodzinie”

Witam Was, mam na imię Marek i opowiem Wam o mojej rodzinie. Ogólnie to bardzo się kochamy i cieszę się, że mam taką rodzinę. Cytując fragment książki Adma Mickiewicza „Pan Tadeusz”: „Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił”. Ten fragment można porównać do rodziny. Trzeba doceniać własną rodzinę i cieszyć się każdym dniem i ten, kto stracił jakąś bliską osobę wie o tym najlepiej. Ale wracając do tematu: moja rodzina ma 7 członków. Są to: trochę zwariowana mama Ewa, bardzo poważny tata Janek, brat (bliźniak) Łukasz, wielki marzyciel – podróżnik kochający egzotyczne zwierzątka, babcia Marysia, no i nasze dwa pupile: piesek Azorek i kotek Łatek.

Zacznijmy od wybryków najmłodszego z rodziny, czyli pięciomiesięcznego kotka. Mój mały, zadziorny Kocurek już sterroryzował wszystkie inne stare koty z naszej ulicy. Chodzi do sąsiadów, poznaje nowe tereny i stawia się mieszkającym tam kotom. Goni je i chce się z nimi bawić. Jednak one schodzą mu z drogi, pewnie już nie mają ochoty na figle. Naszego owczarka też się nie boi. Poluje na niego i skacze mu na ogon. Jednak on nie może nawet na Łatkę spojrzeć, a co dopiero powąchać. Od razu obrywa po pyszczku, bieda pies. Poza tym nasz kocurek lubi pić wodę z kranu, leżąc w umywalce łapie językiem spadające krople. Śpi na gałęziach drzewa, wciska się do półek, szaf i wskakuje na biurka. Ciągłe trzeba go szukać po kątach. Zwyczajnie bawi się z nami w chowanego.

Mój pies Azor ma trzy lata, jest świetnym piłkarzem i pływakiem, należy do naszej drużyny piłkarskiej i niech tylko spróbuje go ktoś okiwać lub strzelić mu gola. Ten pies jest idealnym bram-

karzem i napastnikiem. Wszyscy się śmieją, gdy piesek odbija głową piłkę. Jak ktoś strzela na bramkę, on pierwszy łapie piłkę. Chciałbym mieć ten spryt. Azor lubi też chodzić z nami nad małe jezioro. Pływa i wspina się na pływającą kłodę, a później łapie równowagę i nie raz strąci nas do wody. Sam też często spada. Z moim psem jest świetna zabawa. Taki olbrzym, a łagodny jak baranek.

Co do mojej babci, to powiem tylko jedną rzecz, która normalnie mnie „rozbraja”. Moja babcia woła na mnie: – „Mareczku”. Ja oczywiście odpowiadam i wołam do niej: „TAAAK!!!!”. Ona po pięciu sekundach po mojej odpowiedzi woła do mnie: – „Czy jesteś w domu?” To mnie tak załamuje i rozbawia. No, bo gdzie miałbym być, chyba nie w kosmosie.

Teraz coś o moim bracie i jeśli to gdzieś przeczyta, to będzie to moje ostatnie wypracowanie, bo zginę marnie, ale i tak warto zaryzykować. Gdy Łukasz był malutki (3,4 latka) ciągle chodził z encyklopedią płazów i gadów, uwielbiał zwierzątka i wszystko chciał o nich wiedzieć. Ciągle pytał mamę, czy może zostać jaszczurką, albo wężem lub żabką. Mama uwielbiała jak Łukasz opowiadał i na sobie pokazywał, jak te zwierzątka wyglądają. Gdzie oczko, gdzie nosek i ogonek, jak chodzą. Malutki aktor.

A ja, to cały ja, ściągałem trochę z pamiętnika mamy, bo z najśmieszniejszych lat mojego życia niewiele pamiętam. Zacząłem mówić, jak miałem roczek. Mówiłem bardzo ładnie i wyraźnie, a także trochę inaczej niż wszyscy, lubiłem też rozmawiać z obcymi osobami (2-4 latka). Chodząc po ściętych gałęziach mówiłem, że to grzęzawisko, jadąc polną, nierówną drogą mówiłem, że ta droga jest wyboista. Gdy leciały sroki wołałem: „kroki lecą”. Gdy byliśmy w Wambierzycach podszedłem w restauracji do obcych ludzi i opowiadałem pani, jaki mamy w domu duży basen. Pani zapytała mnie: – „Czy umiesz pływać?” Odpowiedziałem jej: – „Nie, ja umiem tylko tonać”. Po mojej błyskotliwej wypowiedzi wszyscy ludzie w tej restauracji świetnie się bawili i chętnie ze

mną rozmawiali. Z lekarzem pediatrą byłem na „cześć” i „żółwik” i sam wchodziłem do gabinetu trzymając go za rękę. Miałem mnóstwo zabawnych przygód.

O moich rodzicach nie mam takich poufnych informacji (nieźle zacierają ślady). Jednak najstarsza siostra taty zdradziła mi jego sekret. Jak był mały, to na gołębie wołał: „ziumby”. Nie tak dawno, przy obiedzie, zapytałem tatę, jak się nazywa wymarły gatunek gołębia. Ponieważ przy obiedzie często dyskutujemy na różne tematy, to potraktował to pytanie bardzo poważnie i niestety nie znał na nie odpowiedzi. Ja mu grzecznie podpowiedziałem, że to są przecież „ziumby”. Oj było wesoło! Którejś Wielkanocy w Dyn-gusa nie polaliśmy mamy wodą. Na drugi dzień obaj z bratem wy-lądowaliśmy jednocześnie w ciuchach pod prysznicem, to nasza mama nas polała. Od tamtej pory zawsze z bratem pamiętamy: mamę trzeba polać w Dyn-gusa!!! No cóż, w lany wtorek ona o nas też pamięta, ale już nie jesteśmy mokrzy za darmo.

To szczęście, gdy ma się rodzinę, a moja rodzina jest super. Czasem się kłócimy, czasem wygłupiamy i robimy szalone rzeczy. Nie umiałbym bez nich żyć. Doceniam to, że mam rodziców, brata, babcię i własny pokój, bo najmłodsze siostry mojego taty, gdy miały 7 i 9 lat już były sierotami (bez rodziców i dziadków).

I DLATEGO: „MAMO, TATO, BRACIE I BABCIU – DZIĘKUJĘ,
ŻE JESTEŚCIE!!”



Marta Lisowska, lat 8, wyróżnienie specjalne, ZSP PSP w Szybowicach

Julia Marchel, wyróżnienie, 10 lat

„Śmiejemy się w naszej rodzinie”

Wraz z rodziną wieczorami często oglądamy album ze zdjęciami i przypominamy sobie śmieszne przygody, które przeżyliśmy razem. Jedna z takich przygód zdarzyła się całkiem niedawno.

Na początku lata tego roku, byłam z rodziną na ślubie mojej kuzynki. Bardzo się cieszyłam na tą uroczystość, odliczałam godzinę za godziną. Przygotowałam sukienkę już chyba miesiąc wcześniej i dobrałam buty. W dzień uroczystości obudziłam mamę by pojechać do fryzjera już o 5 rano, a wizytę mieliśmy umówioną dopiero na godzinę 9. Mama była zła, ale ja byłam pewna, że się nie spóźnimy. Fryzjerka zrobiła mi piękne loki i upięła na czubku głowy. Siedziałam na fotelu prawie dwie godziny, ale się opłacało. Byłam bardzo zadowolona ze swojego wyglądu.

Wszyscy wzruszyli się poważną atmosferą uroczystości. Po ślubie odbyło się przyjęcie weselne, podczas którego były tańce, zabawy dla dzieci i dorosłych oraz sesja zdjęciowa. Wszyscy musieliśmy wyjść przed budynek, na duże schody. Gdy już się ustawiliśmy, poczułam, że coś upadło mi na głowę. Pomyślałam, że może to kwiatek, muszka lub kamyczek wpadł mi we włosy. Podniosłam rękę by strącić to „coś”, i... Okazało się, że ptaszek zostawił na mojej pięknej fryzurze małą „niespodziankę”, a ja niechcący rozmazałam tą „niespodziankę” na całej głowie. Wtedy zaczęłam głośno krzyczeć. Wszyscy goście poprawiali mi fryzurę, fotograf się denerwował, panna młoda czyściła mi włosy chusteczką, pan młody wciskał mi w dłoń czekoladę bym wreszcie przestała krzyczeć i płakać.

Każda ciotka chciała mi inaczej upinać włosy. Prawie się pokłóciły o mój kok i szarpały mnie na wszystkie strony. Po długich

poprawkach i ponownym ustawianiu gości, można było wreszcie zrobić zdjęcie. Fotograf powtarzał zdjęcia kilka razy, ale na wszystkich mam ponurą minę. Fryzura już nie była taka piękna, ale „niespodzianka” została zmyta z włosów. Wieczorem dostałam na pocieszenie ogromny kawałek tortu, rodzice pozwolili mi pić Pepsi-Colę i jeść słodkości ile chciałam. Mnie jednak nie było wcale do śmiechu, moja piękna fryzura została zniszczona, a fryzjer miał już zamknięty salon. Później zapomniałam o wszystkim i tak tańczyłam, że uczesanie już nie było wcale ważne. Nogi bolały mnie jeszcze bardzo długo. Bolał mnie też brzuch od tych wszystkich słodczy, które zjadłam na pocieszenie.

Do dzisiaj wspominamy ten dzień i śmiejemy się z rodziną oglądając zdjęcia. Mówimy sobie, że to nie panna młoda była gwiazdą wieczoru, tylko ja i moja fryzura, która została zniszczona przez figlarnego ptaszka.

Nadia Mendel, wyróżnienie, 12 lat

„Śmiejemy się w naszej rodzinie”

Pewnej mroźnej soboty razem z mamą porządkowałyśmy stare książki na strychu. Moja siostra się uczyła, a tato pracował w swoim biurze.

– Mamo! Zobacz co znalazłam! – krzyknęłam.

Mama na mnie spojrzała i uśmiechnęła się ciepło. Powiedziała:

– Otwórzmy go. Spójrz, jaka byłaś mała!

– Mamo, może pooglądamy ten album na dole? – zaproponowałam z entuzjazmem.

Mama zgodziła się i razem udałyśmy się do salonu. Usiadłyśmy na kanapie i zrobiłyśmy sobie gorącą herbatę z malinami i cytryną. Oczywiście nie mogło zabraknąć miodu. Zajrzałyśmy do pierwszego albumu z brzegu i zobaczyłyśmy zdjęcie, na którym siedziałam w pralce z moją ulubioną przytulanką i przerażoną miną.

– Mamo, pamiętam! To było po obejrzeniu tego filmu o magicznych stworzeniach, które znikają w dziwnych okolicznościach! – powiedziałam, śmiejąc się.

– Tak, pamiętam! Szukaliśmy Cię z tatą dwie godziny!

Zaczęłam się śmiać. Po chwili dołączyli do nas tata wraz z siostrą, którzy trzymali w rękach wiele rodzinnych zdjęć z tamtych lat. Niektóre z nich pokazywały nasze wspólne wakacje w ciepłych krajach, a jeszcze inne nas bawiących się w śniegu, lepiących bałwana i rzucających się śnieżkami. Moja siostra pomachała mi innym zdjęciem przed oczami i zapytała:

– A pamiętasz to, kiedy bardzo chciałaś być syrenką. Jak byliśmy w Grecji, to zrobiłaś sobie rybi ogon z kartonu, zabrałaś ponton i fale porwały cię w głąb morza.

– Pewnie! Po chwili znajdowałam się bardzo daleko od brzegu, a tato musiał płynąć wpław aby mnie uratować!

– Nawet nie przypominaj, to było bardzo męczące – wtrącił tata, masując sobie skronie.

Nagle zaczęło bardzo mi burzyć w brzuchu, więc zrobiłam całej rodzinie naleśniki z czekoladą i dorobiliśmy herbaty. Całe to wspomnianie sprawiło, że wszyscy zapomnieliśmy o swoich obowiązach i w gronie rodzinnym, po prostu cieszyliśmy się chwilą. Trwało to dobre kilka godzin, lecz później zobaczyliśmy, że było już bardzo późno i musieliśmy iść spać. Ten dzień zaliczyliśmy do tych bardziej udanych i na pewno niedługo to powtórzymy.

Julia Pason, wyróżnienie, 13 lat

„Śmiejemy się w naszej rodzinie”

Najpiękniejszym w moim życiu jest to, że urodziłam się i wychowuję w cudownej, kochającej się, wielopokoleniowej rodzinie. Rodzina, to największy skarb, który stanowi o naszym miejscu na ziemi. W tym właśnie miejscu dorastamy, rozwijamy się i uczymy się kochać innych ludzi, spędzając z nimi miło czas – po prostu śmiejemy się.

Rodzina, to też dom i spokojny zakątek, w którym możemy szukać wytchnienia, wzajemnej miłości i uśmiechu. To nieuchwytna wartość, która wciąga nas i pokazuje zapach dzieciństwa, dorastania oraz podsumowuje nasze życiowe lekcje. Rodzina to miejsce, w którym odnajdziesz uściski i pocałunki, podobnie jak odpowieź na wszelkie pytania. Rodzina, to ogień, w którym kute są nasze wartości i gdzie krystalizuje się nasze spojrzenie na świat oraz miejsce, gdzie uczymy się stawiać pierwsze kroki. To właśnie nasza rodzina jest powiernikiem naszych największych sekretów, najgłębszych zmartwień i najszerzych uśmiechów i radości. Niektóre rzeczy pękają i niszczej, ale rodzina zawsze będzie naszym początkiem i końcem. Stanowi ją grupa ludzi nierozdzielnie ze sobą związanych, niedoskonałych, lecz zdolnych do wspólnej walki z wszelkimi przeciwnościami życia. Jedną z największych rodzinnych wartości jest bezwarunkowa miłość i przywiązanie. To łagodny świat pełen uścisków, serc i radosnych uśmiechów, które chcemy chronić za wszelką cenę.

Moja rodzina jest bardzo wesoła i rozrywkowa, spędzamy ze sobą każdą wolną chwilę, a szczególnie cieszymy się kiedy wyjeżdżamy na wspólne wakacje z moimi kuzynami lub zbliża się magiczny okres Świąt Bożego Narodzenia. Jest to pora, kiedy dzieci

śmieją się najwięcej, a miłość i wsparcie ze strony bliskich są rozwiązaniem wszystkich problemów. To również czas kiedy znikają wszystkie troski i zmartwienia. Nie trzeba się nigdzie spieszyć, można się skupić na wspólnej zabawie i aktywnym wypoczynku oraz spotkać się w gronie najbliższych.

Moja mama jest księgową, uwielbia ład i porządek, ale ma też duże poczucie humoru. Lubi pracować, sprzątać, ale również uwielbia organizować długie wycieczki rowerowe dla naszej całej gromadki, które zazwyczaj kończą się wspólnym biesiadowaniem przy ognisku. Pieczemy wtedy kielbaski na patyku lub wrzucamy ziemniaki do paleniska. Jest bardzo wesoło, ponieważ wszyscy śpiewają piosenki i tańczą wokół ogniska, a ja z moim kuzynem przygrywamy na ukulele i akordeonie. Cały czas świetnie się bawimy. Jest bardzo wesoło i zabawnie, oczywiście wszyscy się śmiejemy.

Mój tata ma na imię Marek. Po pracy dużo czasu spędza w ogrodzie, ale w weekendy stara się, aby jak najwięcej czasu spędzić wspólnie z nami. Jeździmy wtedy na ryby nad rzekę lub jezioro albo organizujemy inną, równie ciekawą wspólną wyprawę. Każdą okazję na spotkanie wykorzystujemy w stu procentach. Tataś uwielbia łowić ryby oraz spędzać czas wspólnie z nami, grając w różne gry planszowe. Ostatnio bardzo wiele czasu zajmuje mu remont naszej ogrodowej altanki. Nie przeszkadza mu to jednak w poświęcaniu czasu najbliższym.

Często odwiedzamy moich dziadków. Podczas wakacji organizujemy grilla w ich ogrodzie zapraszając wszystkich członków rodziny. Czasu spędzonego we wspólnym gronie nigdy nie żałuję, ponieważ dzięki takim spotkaniom dowiaduję się wielu ciekawych rzeczy i historii, np. w jakich zabawnych okolicznościach poznali się moi dziadkowie lub jakie numery wykręcała moja mama i tata w dzieciństwie. Są powody, aby zawsze wspaniale się bawić i śmiać. Wszystkie ważne uroczystości, takie jak imieniny, urodziny i święta, spędzamy również razem w gronie najbliższych. Moja babcia bardzo troszczy się o wszystkie wnuki. Czasami nawet za

bardzo nas rozpieszcza, lecz mi to nie przeszkadza, gdyż uwielbiam spędzać czas w jej domu, zając się pysznym ciastem z konfiturą zrobionym przez nią. Bardzo kocham moją całą rodzinę i cieszę się, że ją posiadam. Nigdy bym jej nie zmieniła na żadną inną. Mimo niewielkich sprzeczek, które nam również się zdarzają, uważam ją za najlepszą, jaką można sobie wymarzyć.

Rodzina jest naszym światłem, a więzi jej członków są najsilniejsze z możliwych – są wyjątkowe i niezastąpione. To dzięki naszej rodzinie jesteśmy panami naszych emocji. Dzięki niej intuicyjnie się rozumiemy i możemy z radością opowiadać sobie dowcipy, bawić się czy wymieniać te pełne wymowy spojrzenia. Dzięki najbliższym odczuwamy podziw i dumę, która buduje w nas miłość w najczystszej możliwej postaci. Moja mama zawsze powtarza, że najpiękniejsze co w życiu ją spotkało, to uśmiech dziecka i słowa „kocham cię bardzo”. Nie ma nic piękniejszego na świecie. Rozczula każdego, kruszy nawet najtwardsze serca. Ponadto, wiem, że uśmiech dziecka ma wielką i cudowną moc. Rozgania wszystkie czarne chmury i nie sposób go nie odwzajemnić. Kiedy dziecko się śmieje, to życie nabiera sensu. Barwy stają się intensywniejsze, a świat pięknieje. Uśmiech dziecka jest jak sznur pereł. Jest on „balsamem” dla serca mamy, który powoduje, że uśmiech i radość pojawia się na twarzach wszystkich członków naszej rodziny. Nawet mój piesek zaczyna merdać ogonkiem z radości, kiedy widzi, że się śmiejemy. Śmiech jest zaraźliwy i działa na domowników jak domino. Śmiech ten jest zawsze szczery, dodaje sił, wynagradza każdy trud. Świat bez uśmiechu i pozytywnych emocji byłby szary i smutny.

Musimy być szczególnie ostrożni, aby podtrzymywać rodzinne więzy. Osiągniemy to mając na drogowskazie wspólny, prosty cel: szczęście i stabilizacja wszystkich członków rodziny. Rodzina jest jak muzyka: występują w niej wysokie i niskie tony, ale wspólnie zawsze tworzą wspaniałą melodię, która sprawia, że w naszej rodzinie zawsze się śmiejemy.



Blanka Wiktoerek, lat 8, wyróżnienie specjalne, PSP w Przedmościu

Milena Szymaczewska, wyróżnienie, 12 lat

„Śmiejmy się w naszej rodzinie”

Fatalny poniedziałek. Te dni zawsze są denerwujące, ale ten...

– Laurka, Laurka! Obudź się – zawołała moja ukochana, sześćioletnia siostrzyczka. Jęknęłam. Ta mała skakała po moim łóżku, tym samym więc i po mnie. Sięgnęłam po telefon, leżący na szafce nocnej.

– Niece, – wymamrotałam sennie. Do budzika zostało jeszcze prawie pół godziny, a ten irytujący brzdąc obudził mnie przed czasem. Kazałam jej wyjść z pokoju, ale niewiele to dało. Próbowałam ją chociaż zepchnąć z łóżka, ale mała bekła od razu się zaczęła mazać.

– Maamoo! Laurka wygania mnie z pokoju! – krzyknęła.

– Laura! – zawołała mama z kuchni stukając obcasami.

– Co ci mówiłam! – powiedziała, wchodząc do pokoju.

– Poza tym, posprzątaj ten bałagan i wreszcie wstań! A twoja siostra ma dzisiaj wyjątkowy dzień, idzie do pierwszej klasy, mogłabyś to zrozumieć – to mówiąc, wyszła z pokoju, trzymając za rączkę przysła „wzorową” uczennicę, która pokazała mi język (oczywiście, jak upewniła się, że mama nie widzi).

Z westchnieniem zesłam z łóżka i rozglądnęłam się po pokoju. Ten bałagan okazał się papierkiem po gumie mojej siostry, jej gumką do włosów i opaską rzuconą od niechcenia na podłogę. Na biurku zaś zauważyłam brak mojej srebrnej bransoletki. Wszędzie porozrzucone kolczyki i naszyjniki.

– Kaśka! – zawołałam, wybiegając z pokoju. Oczywiście „królowna” siedziała już w łazience, gdy tam zajrzałam.

– Jak ty wyglądasz? Zmyj z siebie to natychmiast! – powiedziałam, a przestraszona mała opuściła lusterko, które rozbiło się w drobny mak.

– Co się tu znowu dzieje? – mama wyraźnie niezadowolona wbiegła do łazienki. Widzisz, tak się to kończy, jak jej nie pilnujesz – powiedziała do mnie surowo, ogarniając wzrokiem pobojowisko.

Pośrodku łazienki moja siostra szczyrzyła do mnie zęby. Miała pomalowane usta błyszczkiem mamy, upudrowane policzki i wszędzie rozmazany brokat wraz z tuszem do rzęs.

– Ale... – próbowałam się bronić, jednak natychmiast mi prze-rwano – żadnych „ale”. Marsz do kuchni i pozmywaj naczynia.

Wykonałam niechętnie to polecenie, myśląc o tej kompletnej niesprawiedliwości. Wszystko było takie irytujące. Na dodatek moja bransoletka miała urwane zapięcie.

Po chwili do kuchni weszła mama z siostrą, doprowadzoną już do porządku. „Księżniczka” miała na sobie różową, tiulową spó-dnicę, srebrne balerinki, zaplecione blond loki i zdaniem rodziców wyglądała jak aniołek. Dla mnie to była diablica ukryta w przebra-niu królowej, która mogła robić, co jej się żywnie podoba i nikt jej nie oskarży. Zawsze znajdą inną osobę, na którą można zwalić winę. Oczywiście, jak na życzenie, to ja zawsze byłam tą osobą, a „Waszej Wysokości” wszystko uchodziło na sucho.

Nalałam sobie mleka do miski i wsypałam płatki. Wyrzuciłam puste opakowanie i chciałam usiąść przy stole, gdy na krzesło obok wskoczyła sześciolatka, przysunęła do siebie moją miskę i zaczęła jeść.

– Ej! To było dla mnie! – odezwałam się.

– Mama mówi, że młodsi mają pierwszeństwo – powiedziała „Panna Mądralińska”. Przy okazji strąciła miskę i wylała mleko.

– Kasiu! – powiedział tato, wchodząc zaspany do pomieszzcze-nia. Mogłoby się wydawać, że już dostanie burę, ale pokazała ta-cie ząb, swój pierwszy mleczak, którego właśnie wyrwała. Rodzice uszczęśliwieni zaczęli głaskać ją po głowie i obsypywać pochwała-mi, zapominając o rozlanym mleku, które ja musiałam posprzątać.

Poszliśmy w końcu do szkoły, prawie się spóźniając na roz-poczęcie roku szkolnego. W końcu mogłam oddalić się od tej

irytującej rodziny, ale na pożegnanie Kasia zawołała na cały korytarz – Pa, pa Laurko! Niestety, właśnie wtedy usłyszeli to moi klasowi koledzy i zaczęli od tego czasu nazywać mnie Laurką. W myślach jeszcze raz podziękowałam mojej „mądrej” siostrze.

Następnego dnia, na jednej z lekcji rozmawialiśmy na temat śmiesznych sytuacji w naszych rodzinach. Pomyślałam ironicznie, że jak siostrunia przebiera się za Barbie i w tym stroju udaje, że lata, wymachuje różdżką i skacze z kanapy, to jest bardzo śmieszne. Tylko potem trzeba zbierać stłuczone wazony, wycierać wylaną wodę, wyrzucać połamane kwiaty, umyć siostrę i nakłonić ją aby włożyła na siebie coś, choć w miarę, normalnego, ustawić kanapę i pozbierać rozsypane kosmetyki, spóźniając się do szkoły.

W środę, po szkole mama wyjątkowo przyszła do szkoły po Kasię. Nie znalazła jej nigdzie. Zaczęto szukać Kasi. Przepadła jak kamień w wodę. Niezbyt lubiłam bawić się z siostrą, ale jak jej zabrakło to było jakoś szaro i nijako. Zaczęłam dostrzegać śmieszne elementy jej zabaw.

Po godzinie poszukiwań, pani sprzątaczką weszła do składzika z różnymi detergentami i okazało się, że siedziała tam Kasia, przestraszona i bardzo zmęczona. W czasie zabawy w chowanego schowała się tam, tak skutecznie, że nikt jej nie znalazł. Odczuliśmy wielką ulgę, że mała diablica się jednak znalazła, cała i zdrowa. Później wszyscy się śmialiśmy z tego zdarzenia.

W naszej rodzinie często się śmiejemy, chociaż czasami bywa śmiesznie dopiero wtedy, gdy się coś zrozumie.

Martyna Telega, wyróżnienie, 9 lat

„Rodzinny czas”

Mama Celina właśnie wracała do domu po całym dniu w pracy, ciesząc się na widok swojej rodzinki. Weszła do domu, a tam... panowała prawie zupełna cisza. Zdziwiona zajrzała do jadalni, gdzie na szczęście zobaczyła całą swoją rodzinę. Jej bliscy siedzieli na kanapie, ale nic do siebie nie mówili. Max bawił się na telefonie, tata, który miał słuchawki na uszach, był zapatrzony w mecz piłki nożnej, a Kate czytała książkę.

Mama stała tak przez chwilę, ale nikt nie zareagował na jej powrót do domu. Ciszę przerwał nagle donośny wrzask taty.

– Gooooool!!! Nareszcie!

Mama wykorzystała tę chwilę i westchnęła ciężko, a potem podeszła do telewizora i go wyłączyła. Nie spodobało się to tacie, który patrząc złowrogo na swoją żonę, krzyknął:

– O co ci chodzi? Chyba należy mi się chwila relaksu po ciężkim dniu w pracy?!

Mama ze spokojem odparła:

– Mam dość.

Po czym podeszła do Maxa i zabrała mu z ręki telefon. Pryszczaty nastolatek zaprotestował:

– Co jest? Przecież nie robię nic złego.

Kate widząc całą sytuację, wiedziała, że teraz pewnie mama podeszła do niej i zabierze jej książkę, więc tylko nonszalancko burknęła:

– Phi... Proszę bardzo, czytam właśnie lekturę szkolną, ją też możesz zabrać...

Dziewczyna wyciągnęła rękę do mamy, chcąc oddać jej książkę, ale kobieta zupełnie nie zwróciła na to uwagi. Stała zamyślona

i wpatrzona w jeden punkt. Tę niezręczną ciszę przerwał tata, zwracając się do swojej żony:

– Dobrze, w czym tkwi problem? Co się denerwuje?

– Mam dość tego, że niby spędzamy czas razem, ale tak naprawdę wcale ze sobą nie rozmawiamy, każdy skupiony jest na czymś innym i w ogóle nie dostrzega innych osób. Nasze rozmowy kręcą się wokół tego, kto ma pilot lub wokół narzekania na zasięg Wi-Fi w mieszkaniu.

Na skupionej twarzy mamy pojawił się nagle uśmiech, który po chwili przerodził się w zaraźliwy śmiech. Zdziwieni domownicy zaczęli się dopytywać, co się stało. Mama przez śmiech powiedziała:

– Przypomniało mi się, jak wszyscy byliśmy kiedyś w lesie, Kate i Max mieli wtedy po kilka lat. Kate znalazła swojego pierwszego jadalnego grzyba, była wtedy z siebie bardzo dumna. Postanowiła, że sama łączy cały koszyk. Biegała po lesie ze znalezionym grzybem w ręczce, żeby wiedzieć, jakich grzybów szukać. Tak bardzo się na tym szukaniu skupiła, że przez przypadek zgubiła swojego jedyne grzybka.

– Tak, pamiętam. Była wtedy zrozpaczona – wtrącił tata.

– Wszyscy szukaliśmy zaginionego grzybka, aż... – kontynuowała mama.

– Sami się zgubiliśmy – zaśmiał się Max. – Do dzisiaj to pamiętam.

– Cóż, grzyba nie udało się odnaleźć, na szczęście udało się nam odnaleźć drogę powrotną.

Potem zrobiliśmy sobie piknik na leśnej polanie. Śmialiśmy się i jedliśmy drożdżowe ciasto. Cieszę się, że to wszystko robiliśmy razem. Brakuje mi tego – zawiesiła głos mama i skończyła wspominać dawne dzieje.

– Może jutro to powtórzymy? Jest piękna pogoda, a ja chętnie przegonię Maxa w zbieraniu grzybów – zaśmiała się Kate, która również zatęskniła za wspólnie spędzaniem z bliskimi czasem.

- To lepiej spakuję kompas! – odparł Max ze śmiechem.
- Jesteśmy umówieni! – ucieszyła się mama – Zobaczcie, jak niewiele potrzeba, by znowu być razem, a nie tylko obok siebie.
- Masz rację, kochanie – przytaknął mamie tata.



Stanisław Gurok, lat 9, wyróżnienie specjalne, PSP w Borkach Wielkich

Mikołaj Wereszczyński, wyróżnienie, 13 lat

„Moja rodzina się śmieje”

Moja rodzina, od kiedy pamiętam, różniła się od innych prawie pod każdym względem: kulinarnie, bo kiedy inni jedzą pizzę, to albo kupioną albo mrożoną – u nas danie to robi się własnoręcznie. Na niedzielny obiad może być ogórkowa, ale w tygodniu mama chętnie przygotowuje krewetki.

Nie jesteśmy również typowi, jeśli chodzi o motoryzację: większość moich kolegów jeździ niemieckimi samochodami, my – koreańskimi, czego wielu nie rozumie. Również jeżeli chodzi o sposób spędzania wolnego czasu, jesteśmy nietypowi, bo w czasie wielkiej i szalonej fascynacji wszystkich dookoła piłką nożną ani mój tata, ani brat, ani ja nie interesujemy się tym sportem, ale za to kochamy rowery.

Przygody też mamy nietypowe. Rok temu przydarzyła się historia, z której wszyscy się do dzisiaj śmiejemy. Mieliśmy jechać do Chorwacji...

Tydzień przed wyjazdem w domu panował bagażowy chaos, wszędzie pałętały się walizki i torby. Tata narzekał, że mama jak zwykle za dużo spakowała. Stwierdził, że nie musimy zamykać domu, bo wszystko zabieramy na wakacje. Pakowaliśmy wszystko, co wpadło nam w ręce. Nie wiem czemu tak robiliśmy, ale sądzę, że było to spowodowane paniką przed podróżą. Po tygodniowym harmiderze związanym z wyjazdem nadszedł ten dzień... mieliśmy wyjeżdżać do Chorwacji.

Poszliśmy spać o dziewiętnastej, bo czekała nas dwunastogodzinna podróż z Opola do chorwackiego miasta Brela. Kiedy nadeszła godzina pierwsza w nocy – wyruszyliśmy. Od pierwszych minut od wyjazdu czuliśmy jednak, że czegoś zapomnieliśmy.

Nie dawało nam to spokoju. W końcu sprawdziliśmy na stacji benzynowej przy granicy polsko-czeskiej. Nasze obawy były słuszne. Okazało się, że zapomnieliśmy jednej z trzech walizek. Wróciliśmy do domu i zapakowaliśmy zapomniany bagaż. I znów wyruszyliśmy. Całe szczęście, że żyjemy niedaleko granicy z Czechami, tylko pięćdziesiąt sześć kilometrów. Przynajmniej dla nas to nie jest daleko. Tata jak zwykle gderał, mama się obrażała. Wyruszyliśmy w dalszą podróż. Po siedmiu godzinach przejechaliśmy Czechy i stanęliśmy na stacji paliw w Austrii. Musieliśmy zatankować i rozprostować nogi. Po krótkim odpoczynku znów ruszyliśmy w trasę. Przez Austrię przejechaliśmy w pięć godzin, co było dla nas dość szybkim przejazdem przez ten kraj, bo zazwyczaj jechaliśmy przez to państwo sześć lub siedem godzin.

Po przejechaniu Austrii trafiliśmy do Słowenii. Musieliśmy się zatrzymać na granicy, aby kupić winiety, czyli naklejki, które przykleja się na przednią szybę auta. Dzięki temu nie trzeba stać w korkach na autostradowych bramkach. Najbardziej zdziwił mnie fakt, że kiedy wjechaliśmy do tego kraju, już od razu był napisany kierunek na Chorwację, jakby do granicy było tylko kilka kilometrów.

Niestety, w czasie jazdy natrafiliśmy na wypadek, który spowodował dwudziestokilometrowy korek. Tata chciał go przeczekać, ale mama chciała jechać lokalnymi drogami. Okazało się, że to racjonalny ojciec miał rację... Droga stawała się coraz węższa, coraz bardziej kręta, coraz bardziej górzysta... W pewnym momencie usłyszeliśmy, jak przejeżdżający obok nas na rowerze Słoweńiec mówi: „Wielki korek a w nim sami Polaki i Niemcy...”

W naszym samochodzie atmosfera stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Podróż objazdem trwała już dwie godziny, a przejechaliśmy dopiero 15 kilometrów. Kiedy wreszcie dotarliśmy do granicy słoweńsko-chorwackiej, czuliśmy się, jakbyśmy dotarli na Księżyc. Niestety, później miało się okazać, że najgorsze było dopiero przed nami. Hordy spragnionych wypoczynku turystów z całej Europy ciągnących za swoimi samochodami

motorówki, łódki, skutery, rowery i motory, a obok nich campery i samochody z przyczepami pędziły autostradami w Chorwacji.

Było ich mnóstwo. Mama stale klóciła się z tatą o wakacje, o pestki czereśni rozsypane po całym samochodzie, pokruszone chipsy, pomyłoną drogę. Miałem już wszystkiego dosyć, chciałem być już u celu. Na szczęście za Zagrzebiem ruch na drodze się zmniejszył, a nastroje w samochodzie się poprawiły.

Bez dalszych problemów dotarliśmy do Breli. Na widok wynajętego przez nas domu wszystkim nam opadły ręce. Budynek wyglądał, jakby był w trakcie rozbiórki. Mama się popłakała, a tata bez słowa zaczął wnosić bagaże na drugie piętro. Gdy weszliśmy na balkon, okazało się jednak, że roztacza się stamtąd najpiękniejszy widok na świecie. Nic już nie było ważne i wydawało się, że nic nas nie zaskoczy. Kiedy wnieśliśmy z tatą wszystkie bagaże na górę i usiedliśmy na fotelach, mama rozejrzała się po pokoju i zapytała z dziwnym wyrazem twarzy: „A co to za torba?” I wtedy ojciec odpowiedział bez mrugnięcia okiem, dziwnym głosem: „Nie uwierzysz, wzięliśmy ubrania narciarskie”.

Wszyscy zaczęliśmy tarzać się ze śmiechu. Nie mogliśmy się uspokoić. Zapomnieliśmy o nerwach, zmęczeniu, złości. Gdy przyszła do nas nasza gospodyni Dragana, przebraliśmy się w nasze zimowe ubrania i robiliśmy sobie w nich zdjęcia w czterdziestostopniowym upale na tle Adriatyku.

Do dziś wspominamy naszą chorwacką przygodę, która była jedną z wielu. W naszej rodzinie wszyscy jesteście trochę roztrzepani, co powoduje, że spotykają nas różne historie. Na szczęście są to przeważnie przygody, które kończą się dobrze, a my możemy je wspominać ze śmiechem, bo śmiech jest dla nas ważny. Moja rodzina jest najlepsza na świecie, ale stale spotyka nas coś dziwnego.



Alicja Zielonka, lat 8, wyróżnienie specjalne, PSP w Cisku

Anna Macioł, wyróżnienie specjalne, 14 lat

„Śmiejemy się w naszej rodzinie”

Dopiero koniec września, a już jakby zima wałęsa się po kątach. Daje znać wieczorami o sobie. Szybciej robi się ciemno, i tak dużo chłodniej, z kominów unosi się dym, ulice i podwórka pustoszeją. Uwielbiamy usiąść wtedy całą rodziną, przy ulubionej gorącej herbachie i powspominać, pooglądać zdjęcia, czasem popłakać, a czasem pośmiać się z dziwnych historii..

13 lat temu...

Najprawdopodobniej chciałam upiec ciasto. Dlaczego najprawdopodobniej? Ponieważ dokładnie sama nie pamiętam, ale zdjęcie mówi wiele. Siedzę sobie na podłodze w kuchni, na twarzy maluje się zapal, a wokół mnie pełno rozsypanej mąki, cukru, orzechów i jeszcze innych smakowitych dodatków. Dlatego domyślam się, że mogło chodzić o zrobienie ciasta. Tylko nie bardzo wiem, co w tym wszystkim robi sok marchewkowy...może ciasto miało być marchewkowe?

12 lat temu...

Zrobiłam sobie pierwszy tatuaż. Na nogach. Ale jaki tatuaż! Tatuaż od kostek po uda, na obu nogach. Moje narzędzia były całkiem proste – kilka kolorowych flamastrów. Trudno było go zmyć, ale w tym cały „profesjonalizm”, aby długo wytrzymał. Dumnie prezentowałam zielono-niebieskie arcydzieło do zdjęć.

11 lat temu...

Zapewne nie ma w najbliższym, moim otoczeniu osoby, która nie uczestniczyłaby w przyjęciu weselnym, mniejszym

lub większym, ale takim tradycyjnym. Zapewne, nie ma też w moim najbliższym otoczeniu osoby, która nie spotkałaby na swojej drodze ślimaka. Tak, takiego najzwyklejszego ogrodowego winniczka, targającego swój domek na grzbiecie. Teraz każdy snuje domysły, jak to połączyć. Podpowiadam, najlepiej to połączyć węzłem małżeńskim. Trzyletnia Anna wspaniale sprawdziła się jako organizator ślimaczych wesel. Oczywiście, wszystko odbywało się z pompą w wieżycze u góry zjeżdżalni. Ślimakom chyba się podobało, bo nie uciekały. Tylko czy biedactwa potrafiłyby uciec zdeterminowanej trzylatce?

10 lat temu...

Kochałam bajki, nadal kocham. Uwielbiam przenosić się w świat taki niecodzienny, baśniowy trochę, nierealny. Mając 4 latka uwielbiałam oglądać bajkę o smoku Tabaludze i jego przyjaciółach. Byliśmy z bratem jego wielkimi fanami. Ponieważ mama była zajęta pracą w kuchni i tak jakoś nam się nudziło, a jeszcze mój roczny brat osesek nie odstępował mnie na krok, postanowiłam dostarczyć nam trochę rozrywki. Na głównej pustej śnieżnobiałej ścianie w salonie wymalowałam długopisem przepiękne dzieło. Scena żywcem ściągnięta z życia Tabalugi – paprocie, kolorowe kwiaty, zamek, rycerz ze specjalną dedykacją dla Pawelka oraz oczywiście latające smoki. Piękne, ale niestety mama też wpadła trochę jak latający smok. Chyba się na nas pogniewała. Na szczęście nie gniewała się długo. Wpadł do nas znajomy, taki trochę rzeźbiarz – amator i wytłumaczył mamie, że nie wolno zabijać w dziecku duszy artysty.

9 lat temu...

Mój brat Paweł, jako małe dziecko, niestety nie był fanem rodzinnych wyjść na msze święte. Mama czasem mu pobłażała, bo to jednak małe dziecko, po co miał przeszkadzać innym. Były jednak takie msze, kiedy Paweł nie miał wyboru, na nic zdały się maślane

oczka dwuletniego czarusia. Jakimś cudem w kościele zawsze działały magiczne siły i Paweł zasypiał. Zawsze. Mógł wstać pół godziny wcześniej po porządnej długiej drzemce albo po normalnej przespanej nocy, a i tak zasypiał, jak tylko organista zaczynał grać pierwszą pieśń. Tylko raz chyba grali mu aż za dobrze, bo jak zaczął chrapać, to nawet księdza na kazaniu zagłuszył.

8 lat temu....

Mama pracowała wtedy jako księgowa w kole łowieckim. Ponieważ byliśmy jeszcze mali, to pracę wykonywała po prostu w domu, dlatego trochę podsłuchiwalismy, co tam w trawie piszczy. Pewnego popołudnia, podczas podwieczorku, Paweł niespodziewanie przygotował się do biegu. Rozbieg, jak na trzyletniego malca był niezły, bo aż 5 metrów wzdłuż pokoju! I uderzył głową w szafę! Rodzina w panice! Pewnie wstrząśnienie! Dobrze, że krew się nie leje. A Paweł na to zdziwiony: – „Ale mamusiu, ja chciałem być jeleniem”.

7 lat temu...

Rodzeństwo czasem się kłóci. To nawet nie są poważne kłótnie. Raczej tak dla zasady, bo przecież nie można ciągle ustępować młodszemu, starszemu, zielonemu, różowemu. Nie da się. Jednak ile okazji, tyle przypadków „a ustąp”. Więc postanowiłam nie ustąpić. Jednak Paweł miał broń niesłychaną, której nie zawahał się użyć, a o której potędze nawet nie wiedziałam. Zdenerwowany czterolatek, to ciężka sprawa. Zdenerwowany czterolatek z mandarynką w ręku, to już naprawdę katastrofa. Celny rzut na szczęście nie okazał się zbyt celny i ucierpiała ściana. Piękny okaz sztuki nowoczesnej.

5 lat temu...

Wspaniałe wakacje w Białce Tatrzańskiej. Trochę dużo ludzi, bo i termin niefortunny, w tak zwany „długi weekend”.

Radziliśmy sobie, uciekając od tłumów, chodziliśmy po trudniejszych szlakach – nie dla leniwców. I na jednym takim szlaku mama wpadła w euforię. Kozice. Prawdziwe górskie kozice. Przebiegały niedaleko nas. Stado czterech czy pięciu czarnych małych kudłaczy. Ale zaraz, hmm, może jednak przydałaby się wizyta u okulisty. To jednak nie kozice! To niedźwiedzica z małymi! Dobrze, że jej się głaskać nie zachciało. To by było dopiero. Dobrze czasem nie słuchać mamy.

2 lata temu...

Przygarnęliśmy psa. My jego, a on nas. Bardzo się o siebie troszczymy. Pies w taki niecodzienny sposób, często dla nas niezrozumiały, bywa i lekko denerwujący, ale wiemy, że intencje są dobre. Pierwsze lato Łapka i pierwsza jesień niosły trochę strat w ogrodzie. Pewnego wrześniowego wieczoru Łapek wrócił z ogrodu cały zakrwawiony. Było już ciemno, on nie dał się porządnie zbadać, czy ma gdzieś głębokie rany. Cała rodzina w panice. Trzeba natychmiast do weterynarza. Pakujemy psiaka w koc i... i to jednak nie krew. Łapek miał spotkanie pierwszego stopnia z krzakiem pomidorów (albo raczej krzak pomidorów z Łapką). Nasz czteronożny przyjaciel postanowił wytarzać się w ostatnich czerwonych pomidorach.

...

Siedzimy sobie. Pijemy herbatkę. Pies pochrapuje w kącie. Koty urządzają dzikie harce i łapią ćmy. A my śmiejemy się ze wspólnych wspaniałych przeżyć...



Anieli Kogut, lat 8, wyróżnienie specjalne, PSP w Raclawicach Śląskich

Julia Stankala, wyróżnienie specjalne, 13 lat

„Rodzinka szczerych uśmiechów”

Uśmiech, to nie tylko wyraz twarzy. To siła, która może odmieniać świat. Szczególnie jeżeli ma się tak pokręconą, niesamowitą i nietypową rodzinę jak ja. Co prawda nie wieźliśmy trupa na dachu swojego auta, jak „Griswoldowie”. Nie przemycaliśmy narkotyków w dużym świecącym kamperze, jak „Millerowie”, a do rodziny „Boskich” jeszcze troszeczkę nam brakuje. Jednak, gdyby spojrzeć na to z innej perspektywy, to nie potrzeba nawet „Krzywego zwierciadła”, żeby stwierdzić, że ta rodzina zasługuje na własną produkcję filmową i jestem pewna, że chwyciłaby ona za serce niejednego przeciętnego zjadacza chleba.

Jak każdy „gang” mamy swój własny język, który rozumieją tylko „wtajemniczeni”. Specjalnie dla was wytłumaczę parę, najczęściej używanych pojęć w naszej rodzinie.

„Całkiem typowy słownik, całkiem typowej rodziny”

Wszyscy dobrze wiemy, że aktywność fizyczna to samo zdrowie. My jak na „profesjonalną” sportową ekipę przystało mamy swój własny, niezawodny przelicznik kilometrów, specjalnie stworzony na długie wyprawy i wędrówki na naszych biednych, zmęczonych i wrażliwych nóżkach!

SPACER – DO 5 KM; WĘDRÓWKA – OD 5 DO 10 KM; WYPRAWA – OD 10 DO 15 KM; „PRZYGODA ŻYCIA” – KTÓRĄ OSOBIŚCIE WPROST „UWIELBIAM” – POWYŻEJ 15 KM

Przedstawię wam „problem” dotyczący naszej skali, zaczynający się od bardzo istotnej wiadomości. Otóż nasza mamusia wręcz

kocha spacerować. My oczywiście również „pajamy” miłością do długich, wyczerpujących spacerów, głównie dlatego, że nie mamy wyboru. Natomiast nie martwcie się, kto jak kto, ale nasza rodzinka ma na to niezawodny sposób. Z każdym krokiem robimy się bardziej wściekli i zmęczeni, a nasz gniew rośnie w siłę. Kiedy tak rośnie i rośnie, aż urośnie do gigantycznych, niewyobrażalnie dla zwykłego ziemianina dużych rozmiarów, robimy się potwornie głodni. Naszą nadzieją w takich, ależ trudnych, sytuacjach jest nasz kochany tatuś, który wręcz ubóstwia jeść. Jego bardzo przydatny i niezawodny instynkt trapera zawsze znajdzie odpowiednio krótką drogę i doprowadzi nas do najbliższej jadłodajni, gdzie świętujemy nasz triumf nad długimi spacerami!

Kolejnym bardzo ważnym i chyba moim ulubionym wyrazem w naszym całkiem typowym słowniku jest wyraz „SMOK”, oznaczający w naszej brygadzie różnego rodzaju przekleństwa i ocenzone słowa.

Historia ze smokiem jest naprawdę ciekawa, szczególnie z mojej perspektywy. „SMOK” powstał w bardzo emocjonującej chwili. Całą rodziną wybraliśmy się na wakacje za granicę. Wyczerpani po kąpielach w basenach i morzu, opalaniu się na ciepłym słońcu uznaliśmy, że przyszedł odpowiedni moment na wzięcie prysznica. Oczywiście, nie obyło się bez kłótni i różnych niezwykle kreatywnych wyzwisk. Kiedy teraz tak na to patrzę, to mieliśmy naprawdę duże szczęście, że mieszkaliśmy na końcu hotelu, ponieważ mam frustrujące wrażenie, że gdyby ktoś usłyszał jakimi pomysłowymi epitetami wymienialiśmy się tamtego wieczoru zdecydowanie zadzwoniłby po lekarza. W środku „ależ cudownej konwersacji” musiał wejść do gry „DOBRY GLINA”, czyli nasza wspaniała rodzicielka. (Czasem zastanawiam się czy słusznie przydzieliliśmy jej takie przezwisko). Nasza mamusia oznajmiła, że jedna z moich sióstr zostanie uhonorowana i ma zaszczyt jako pierwsza skorzystać z łazienki. Pamiętam, że wtedy usiadłam oburzona na łóżko i byłam bardzo zniesmaczona „sprawiedliwością”

w naszej rodzinie. Tak, słyszycie przykład, że zasada „starszym się ustępuje”, *leży i kwiczy gdzieś po drugiej stronie tęczy zając się SKITTLES-ami i śmiejąc się razem z żyrąfą*¹, o tym jak wszechświat daje w kość. Siedziałam więc na tym łóżku i nagle słyszę, że moja młodsza siostrzyczka, ta siostra, która najlepiej się wypowiada, muchy by nie skrzywdziła, powiedziała bardzo brzydkie słowo. Z jej ust wypłynęło soczyste, rodem wyjęte z filmów o gangsterach angielskie czteroliterowe przekleństwo. Ja mając w sobie tyle negatywnych emocji wrzasnęłam na cały regulator, że nasza malutka siostrzyczka przeklina. Byłam z siebie dumna, że w końcu mogłam kogoś wkopać, a nie zostać tą wkopaną! Nie zgadniecie co... Siostra wybiegła półnaga owinięta ręcznikiem, ze łzami w oczach, mówiąc rozpaczliwym głosem, że ona nigdy w życiu by nie powiedziała tak brzydkiego słowa, i że oskarżam ją bez dowodów. Ja oczywiście śmiałam się na głos, bo tak zabawnej sytuacji, z tak dobrze zagraną główną rolą, jeszcze nie widziałam. Niestety moją satysfakcję musiały przerwać, jakże dobrze przemyślane słowa mojej siostry. Otóż jej zdaniem nie powiedziała brzydkiego słowa, tylko z jej ust wypłynął wyraz „SMOK”! Ja jeszcze bardziej i głośniej zaczęłam się śmiać, ponieważ kto mówi „smok” w łazience?! Ewidentnie kłamała. Za to ja stałam na piedestale, myśląc o tym, jak moja maleńka siostrzyczka jeszcze bardziej się pograża. Niestety, moja chwila chwały nie potrwała zbyt długo ponieważ, jak przystało na „DOBREGO GLINE”, mamusia wkroczyła do akcji i zaczęła swoje bardzo nudne pouczanie. Usłyszałam jaką to jestem złą siostrą, że nie wolno śmiać się z innych, czy byłoby mi miło gdyby ktoś śmiał się ze mnie i wiele nieistotnych w tym momencie zdań. Tym samym odebrano mi prawo do wypowiedzenia mojej istotnej wersji wydarzeń. Uwierzcie mi, w mojej głowie tworzyły się przeróżne odmiany słowa „SMOK” i jak na „SMOKA” przysięgam byłam „SMOCZO” W „SMOCZONA” na tą „SMOCZĄ” sytuację.

¹ Na podstawie reklamy cukierków SKITTLES, w której mężczyzna doi żyrąfę, która stoi na końcu tęczы.

Następnym, na pewno wartym uwagi, pojęciem często używanym w naszym „gangu” jest bardzo poetycki cytat, który pod wpływem buzujących emocji, wymyślił nie kto inny, jak mój tatuś:

„IDŹ, I NIE PATRZ W HORYZONT, PONIEWAŻ JEŻELI TO ZROBISZ, HORYZONT CIĘ WCIĄGNIE I BĘDZIESZ MIAŁ NAPRAWDĘ SZEROKĄ, PIASZCZYSTĄ I DŁUGĄ JAK CHIŃSKI MUR DROGĘ DO PRZEJŚCIA!”

Cała sytuacja związana z tym głębokim, jak kałuża po deszczu, cytatem zaszła parę lat temu nad polskim morzem. Całą ekipą razem z: parawanem TOMKIEM, który był niezawodny jeżeli chodzi o wyznaczenie terytorium, namiotem BRYLANTEM, który zawsze przyjął mnie pod swój dach, gdy słońce za mocno świeciło, jaskrawym leżakiem LILKĄ, którym denerwowaliśmy nieładnie zachowujących się plażowiczów i z niezawodnym super-duetem, ręcznikiem z ANNĄ I ELSĄ ruszyliśmy na plażę. Dzień przebiegł bardzo przyjemnie, pogoda dopisywała, ogólnie mówiąc dzień jak z obrazka. Otóż to! Jeżeli w naszej rodzinie coś idzie jak z płatka, to trzeba się przygotować, że w najmniej odpowiedniej chwili, niespodziewanie uderzy w nas błyskawica i sprowadzi na nas niefortunne zdarzenie. Jak już pewnie wiecie, spacerowanie to nasz priorytet, tym bardziej, jeżeli chodzi o wakacje, dlatego zamiast zejść z plaży pierwszym, najbliższym zejściem, szliśmy ze wszystkimi rzeczami, jakie przytargaliśmy ze sobą na plażę, do najdalejszego zejścia z plaży, aż przy samym porcie. Według naszej skali była to naprawdę wyczerpując wędrowka z naciskiem na: w-y-c-z-e-r-p-u-j-ą-c-a. Zmęczeni usiedliśmy na ławce obok latarni. Ubraliśmy buty. Nagle ni stąd, ni zowąd, jak z bicza strzelił, najmłodsza siostrzyczka z przerażeniem w głosie, lekką nutą pretensji i podniesionym tonem zapytała: TATO GDZIE SĄ MOJE BUTY?! Tata, stanowczo podirytowany, odparł jej: NIE WIEM, DLA CZEGO SIĘ MNIE PYTASZ?! Ogólnie w rodzinie, jeżeli czegoś nie wiemy,

albo coś zgubiliśmy, to idziemy z tym do tatusia, mając nadzieję, że odpowie na nasze nurtujące pytania. Szczerze, jestem pełna podziwu, bo życie z czterema kobietami pod jednym dachem to zdecydowanie praca na kolejny etat. Wracając do historyjki. Moja siostrzyczka z przerażeniem w jej niebieściutkich oczkach, które bardzo skutecznie używa do manipulacji, co akurat w większości sytuacji działa, zaczęła płakać... Tato widząc spływające łezki po malutkich, słodziutkich policzkach wziął najmłodszą za rękę i jak superbohater udał się z nią z powrotem na plażę w celu poszukiwania starych, przypominających kolorem piasek sandałów. Ja z resztą ekipy, mamusią i siostrą, siedziałyśmy na ławce i rozśmieszona całym „niefortunnym” wydarzeniem wymieniałymy się spojrzeniami. Pewnie jak już się domyślacie, krótko nie czekałyśmy. Tata z siostrzyczką szli po plaży udając, że są poszukiwaczami skarbów i szukają złota. Przeszukując dokładnie każdy kilometr i metr, szerokiej i wyjątkowo długiej plaży, zwinnie omijali leżących na niej ludzi. Nie mogę sobie wyobrazić, ile epitetów i „SMOCZYCH” przekleństw mój tata musiał mówić pod nosem, natomiast moja młodsza siostrzyczka szukała skarbu śpiewając głośno z uśmiechem na twarzy „Jadą, jadą misie”. Szukali i szukali, tata po drugim kilometrze stracił nadzieję, aż w końcu znaleźli... Na trzecim kilometrze od portu, leżał pierwszy but. Logicznie byłoby pomyśleć, że skoro pierwszy but znaleźli po trzech kilometrach spaceru, to drugi but powinien być zaraz obok. Niestety w naszej rodzinie jak się idzie na spacer, to musi to być konkretny dystans. Kolejny but znaleźli w miejscu gdzie rozstawiliśmy namiot, czyli dokładnie sześć kilometrów od portu. Nie dość, że kochany tatuś musiał wyężyć swój biedny wzrok przez całą emocjonującą wędrówkę, to jeszcze musiał wrócić z powrotem. Wracając podszedł do nas bohaterskim i dumnym krokiem z butami w lewej ręce i małą siostrą „na barana”.

Opowiedziałam wam chyba wszystkie najbardziej istotne i emocjonujące przeżycia w mojej niezastąpionej i niesamowitej

rodzinie. Całe nasze życie jest przygodą, czasem męczącą i trudną, czasem tak straszną, że nie wiemy czy damy radę ją przetrwać. W takich sytuacjach pomaga nam rodzina i jej niezastąpiony, pełen miłości, szczerý uśmiech, który jest najpotężniejszą siłą i bronią na całutkim świecie. Niestety jest go coraz mniej. Zdecydowanie mogę powiedzieć, że uśmiech jest zaraźliwy, szczególnie w mojej rodzinie z kosmosu. Po każdej z trzech wymienionych sytuacji wybuchaliśmy prawdziwym śmiechem. Tego właśnie wam życzę. Szczerego, prawdziwego i niezastąpionego uśmiechu, którym przyjemnie jest się dzielić z innymi.



*Jeśli posłuchamy głosu dziecka,
które mieszka w naszej duszy,
oczy nasze znowu nabiorą blasku.*

Paulo Coelho

wywiady



w górach
wyzwalają się
hormony szczęścia

Barbara Drożdżowicz,
wiceprezes PTTK w Prudniku

– Praca społeczna, szczególnie dla dzieci, daje niesamowitą satysfakcję i radość, mobilizuje – mówi Barbara Drożdżowicz z PTTK Oddział Sudetów Wschodnich w Prudniku, organizatorka rajdów dla najmłodszych. – Kilkudziesięciu uczestników, tyle samo prezentów, jeden święty Mikołaj i góra dobrej zabawy pod najwyższym szczytem Opolszczyzny – to bilans dorocznego rajdu mikołajkowego dla dzieci, który po raz kolejny zorganizowało PTTK w Prudniku. Która to już taka świąteczna impreza?

– Nikt tych rajdów nie liczył. Zaczęło się w latach 70-tych XX w., gdy dorośli z naszego PTTK robili sobie mikołajkowe rajdy zimą w góry. Rajdy dla dzieci rozpoczęły się w 1993 roku z inicjatywy Adama Dworaka, jako wsparcie dla ubogich rodzin. Ja włączyłam

się w ich organizację trzy lata później: najpierw poszukiwałam sponsorów, przygotowywałam paczki i nagrody dla dzieci, a po śmierci Adama w 2009 roku przejęłam ciężar organizacji i tak w 2018 roku przeprowadziłam swój jubileuszowy, dziesiąty rajd. Wymaga to zaangażowania i czasu, bo oprócz paczek dla małych uczestników przygotowujemy testy wiedzy z dziedziny turystyczno-krajoznawczej. Wspierają mnie: Józef Hupka, który pomaga w przygotowaniu pytań do testów i ich sprawdzaniu podczas rajdu, Antoni Węglarz (Mikołaj), który z pracownikami Nadleśnictwa Prudnik wywozi paczki na miejsce spotkania i Maria Halek, która przygotowuje paczki. Rajdy organizujemy przeważnie w pobliżu Prudnika, chociaż zdarzyło się, że Mikołaj wręczał dzieciom paczki pod ziemią, w dawnej kopalni węgla w Nowej Rudzie. Zanim dzieci spotkają się z Mikołajem pokonują nawet 16-18 kilometrów. Na ostatnim rajdzie w 2018 roku wędrowaliśmy razem spod Ziemowita w Jarnołówku na szczyt Kopy Biskupiej, gdzie dzieci spotkały się z Mikołajem, a po otrzymaniu paczek ze słodyczami, zeszliśmy do schroniska na gorącą herbatę, posiłek, konkurs piosenki turystycznej, test wiedzy i zabawy. Każde otrzymało nagrodę. W rajdzie uczestniczą Szkolne Koła Krajoznawczo-Turystyczne PTTK z gminy Prudnik, ale zapraszamy również szkoły spoza naszej gminy. Bywało, że uczestnicy przyjeżdżali trzema autokarami; bywało, że dzięki zaangażowaniu Miroslava Petřika, kasztelana wieży na Biskupiej Kopie, i współpracy z Domem Dzieci i Młodzieży w Jeseniku, w rajdach brały udział także czeskie dzieci ze Złatych Hor i Jesenika.

– Rajd mikołajkowy to niejedna impreza prudnickiego PTTK dla dzieci. Ponadwojewódzką sławą cieszy się Rajd Maluchów.

– Organizujemy go w okolicach Dnia Dziecka. W 2019 roku odbędzie się czterdziesta jego edycja. Pierwszy rajd w 1978 roku zorganizowali nasi członkowie: Zbyszek Zagłoba i jego żona

Ela, dla przedszkolaków, bo mieli dzieci w tym wieku. Wzięło w nim udział ponad 120 uczestników. Od tej pory kontynuujemy ten pomysł, zaledwie z roczną przerwą. Angażuje się w to od 60 do 80 z niemal 460 wolontariuszy - członków PTTK w Prudniku. Pracy jest sporo: od przygotowania bloczków startowych i ich rozprowadzenia, przez pozyskiwanie sponsorów i darczyńców, przygotowanie i wydanie paczek ze słodyczami dla najmłodszych uczestników (do 13 roku życia), obstawienie punktów kontrolnych, prowadzenie konkursów. Kierujemy też ruchem na parkingach, pełnimy rolę służb porządkowych. W organizację włączają się harcerze i uczniowie z Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego w Prudniku i Liceum Medycznego w Prudniku, którzy pomagają nam na hipodromie Stadniny Koni w Prudniku. Rajd z roku na rok się rozrasta. Dotychczas rekordową liczbą było 1650 przygotowanych paczek, ale uczestników mogło być więcej, bo zwykle na starcie pojawiają się niezapisane dzieci, które zapraszamy do zabawy, choć nie możemy im zagwarantować podarunków. Przyjeżdżają z ościennych województw, a nawet spoza granic kraju. Tradycyjnie startujemy sprzed altanki w parku miejskim, następnie dzieci wędrują Alejką Rajdu Maluchów wzdłuż parku do pomnika przyrody Trzech Dębów, gdzie nasza prudnicka mleczarnia przygotowuje pyszną niespodziankę, następnie muszą się wdrapać na Kapliczną Górę (tam też czeka słodka nagroda), schodzą i przez las wędrują na hipodrom, by wspólnie z rodzicami i dziadkami uczestniczyć w konkursach i zabawie. Trasa liczy około czterech kilometrów. Najmłodszy w historii rajdu uczestnik miał zaledwie 7 dni. Jesienią organizujemy też dla dzieci rajd Barwy Jesieni. W 2018 roku w wyprawie na Górę Św. Anny uczestniczyło 60 osób ze Szkolnych Kół Krajoznawczo-Turystycznych PTTK z naszej gminy, Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Prudniku i niezrzeszonych w kołach, a należących do PTTK.

– Harcerze, uczniowie szkół średnich, spółdzielnia mleczarska – angażujecie innych w działalność charytatywną na rzecz dzieci.

– To pokazuje, jak wielu ludzi jest gotowych do aktywności społecznej. Powiedziałabym, że w Rajd Maluchów zaangażowane jest trzy czwarte Prudnika: także policjanci, zawodowi strażacy, Nadleśnictwo Prudnik, prywatne lokalne firmy, sympatycy niezrzeszeni w PTTK, Bank Żywności w Opolu, a ostatnio także Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Wspominałam już o współudziale Czechów, naszych partnerów, przy składaniu wniosku o pieniądze unijne na organizację Rajdu Maluchów. Pomocni są także pracownicy Parku Krajobrazowego Góry Opawskie w Pokrzywnie, którzy podczas grudniowej imprezy prowadzą spotkania i prelekcje dla dzieci.

– To ogromny wysiłek, który nie przynosi żadnych profitów. Co panią i działaczy PTTK motywuje do takiej społecznej aktywności?

– Pieniądze to nie wszystko. Wydrukowane, kolorowe papierki, które dziś są, a jutro może nie będziemy ich mieli. W życiu coś trzeba robić, a praca społeczna, szczególnie dla dzieci, daje niesamowitą satysfakcję i radość, mobilizuje. Ważne, że człowiek coś może robić dla kogoś, w końcu jesteśmy istotami stadnymi. Nie żyjemy dla siebie, a dla innych. Jeśli ktoś tego nie rozumie, to ma problem. My takiego problemu w PTTK-u nie mamy. Cieszymy się, że jesteśmy razem, cieszymy się, że możemy coś zrobić dla kogoś. Społecznie pracuję od 2001 roku. Nigdy nie zastanawiałam się, co mi to daje. Po prostu lubię pracować, lubię działać. Takich ludzi jest wielu. W sezonie turystycznym w 2018 roku, w naszym PTTK zorganizowaliśmy około 70 imprez, z czego ja – 22. Były to wycieczki wyjazdowe jednodniowe, kilkudniowe; zwiedziliśmy Kraków, Warszawę, przedeptaliśmy Góry Opawskie, Wałbrzyskie,

Kamienne, Sudety Zachodnie, Tatry Polskie i Słowackie, zdobyliśmy ukraińską Howerlę. Turystyka górską to moja miłość. Ale przede wszystkim chcę, by dzieci chodziły w góry. Jeśli w młodym wieku ich nie zachęcimy do tego, nie nauczymy, to kiedy? Rodzice nie zawsze mają na to czas. Właśnie od tego jesteśmy w PTTK, żeby zaszczerpić w dzieciach chęć do aktywnego spędzania wolnego czasu. Wiele osób pyta mnie, po co chodzę w góry. W odpowiedzi zapraszam ich na wędrowkę. To niesamowita odskocznia od spraw codziennych. Góry pozwalają mi wyciszyć się, „porozmawiać” ze swoimi myślami, w górach można uciec od codziennego zgiełku. Tam człowiek ma wolny umysł, obcuje tylko z przyrodą. Jest szczęśliwy. Chyba rzeczywiście przy wysiłku wyzwalają się hormony szczęścia. To znakomity pomysł na spędzanie wolnego czasu, wyraz troski o swoje zdrowie.

– Na ile udaje się tę pasję do gór i turystyki zaszczerpić w dzieciach?

– W mojej rodzinie zarazili się prawie wszyscy. Przerabiałam to z córką, która chodziła ze mną po górach od małego. Ale był taki moment, że jako 14-16-latka zrobiła sobie przerwę, bo atrakcyjniejsze było spędzanie czasu z rówieśnikami, bo dziewczyny zaczynały robić sobie makijaże, które podczas wędrowki mogły spłynąć. Ale jak zamieszkała we Wrocławiu i przyjeżdżała ze znajomymi w odwiedziny, to zaczynała od wejścia na Biskupią Kopę. Najpierw swoich znajomych wyciągała w góry, a potem przyjeżdżała do domu. Teraz to samo robi ze swoimi dziećmi. Z malutkim synkiem wędrowała w Masywie Śnieżnika i po Górach Stołowych, latem z 11-miesięczną córeczką była na Śnieżniku. Mój obecnie 5-letni wnuk zdobył już Szczeliniec, Ślężę, a ze mną Pradziada i oczywiście kilkakrotnie Kopę. Widzę, że mu się góry podobają. Niedawno zachęcał 8-letnią koleżankę, żeby przyjechała do mnie na wakacje, kusząc, że „babcia też ją zabierze w góry”.



staram się, żeby
pacjentki mi zaufały,
że chcę dla nich
dobrze

dr n. med. Czesław Milejski, ordynator
Oddziału Ginekologiczno-Położniczego
w Krapkowickim Centrum Zdrowia

– Wszedłem w ginekologię, żeby ją zmieniać. Postawiłem sobie za cel, żeby na moim oddziale nie działo się nic, co byłoby przeciwko życiu, ale i zdrowiu pacjentek – mówi dr n. med. Czesław Milejski, ginekolog, ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego w Krapkowickim Centrum Zdrowia.

– **Wśród pacjentek panuje opinia, że warto leczyć się ginekologicznie i rodzić w Krapkowicach. Czym oddział zasłużył sobie na taką renomę?**

– Bo to jest oddział i szpital dobrze usprzętowany – tylko ostatnio otrzymaliśmy kolejne 4 miliony złotych, dzięki czemu m.in. na oddziale mamy nowe łóżka porodowe, wymieniony został ultra-

sonograf z dobrej generacji na nowszą. Nowoczesne wyposażenie pozwala na wprowadzanie zmian w organizacji oddziału. Działu u nas system Monako, czyli nadzór nad rodzącą ciężarną przez 24 godziny – pacjentka na oddziale jest pod stałym monitoringiem, który jest zapisywany i do którego personel ma bieżący podgląd. Przeprofilowaliśmy sposób operowania, w efekcie czego 90 procent zabiegów odbywa się laparoskopowo. Nawet duże operacje na narządzie rodnym, typu usunięcie macicy z powodu guzów, mięśniaków czy wstępnego procesu nowotworowego robione są laparoskopowo, bez konieczności otwarcia brzucha. W przypadkach nowotworowych standardem na moim oddziale jest tzw. intra, czyli wstępne badanie histopatologiczne przeprowadzane w trakcie operacji. Jeśli wynik pokazuje, że znaleziono komórki nowotworowe, to rozszerzam od razu operację. Nie ma więc takiej możliwości, że po dwóch tygodniach otrzymuję końcowy wynik badania histopatologicznego i okazuje się, że pacjentkę trzeba „dooperować”. Nie chcemy narażać pacjentek na dodatkowy ból i stres, mimo że intra podwyższa koszt operacji, bo w naszym szpitalu nie ma pracowni histopatologicznej, więc muszę wysyłać materiał do badania karetką.

– Pacjentka po laparoskopii szybciej wraca do zdrowia?

– Po takich operacjach pobyt w szpitalu skraca się do około trzech dni. Bardzo ważne jest to, że nie ma otwarcia brzucha i związanych z tym możliwych powikłań przy gojeniu się rany, a co najważniejsze nie ma ingerencji ludzkiej w jamie brzusznej. To ogranicza liczbę zrostów. W sumie zwiększa się satysfakcja pacjentki. Mniej ją boli, a pobyt w szpitalu jest krótszy i taki jest cel współczesnej medycyny.

„Poród nie może być karą. Jeśli pacjentka odczuwa silny lęk przed porodem i bólem, a nie ma żadnych przeciwwskazań medycznych,

by zastosować znieczulenie, to dlaczego mamy jej nie pomóc? Na tym oddziale nieodpłatne są także porody rodzinne. (...) Urządziłszy w nim również, co jest ewenementem w szpitalach, tzw. pokój przygotowań, w którym kobieta – zanim zacznie się na dobre akcja porodowa – może spędzać czas ze swoimi najbliższymi” – to informacja ze strony internetowej KCZ.

– Macie się czym chwalić.

– To efekt wprowadzonych u nas zmian, które można sprowadzić do jednego wniosku, że pacjentką rodzącą trzeba się zająć nie tylko medycznie, ale też trzeba chcieć jej pomóc w rozwianiu obaw, że podczas porodu będzie cierpieć, że popeka. Doceniono nas za to przed laty, na początku wprowadzania zmian w akcji „Rodzić po ludzku” i tę dobrą opinię staramy się utrzymać. Jako jeden z pierwszych oddziałów wprowadziliśmy znieczulenia do porodu bez odpłatności: najpierw znieczulenia zewnątrzoponowe, a potem rozszerzone o entonox, czyli gaz wziewny, żeby rodzące mogły zwiększać próg bólowy, żeby nie cierpiały podczas porodu. Doświadczenie pokazuje, że nierzadko wystarczy sama świadomość, że pacjentka może skorzystać ze znieczulenia. Jeśli poród przebiega dobrze, to paniom wystarcza gaz. A jeśli na starcie wiedzą, że nie mają możliwości uśmierzania bólu porodowego, to od razu są zablokowane. Świadomość, że pacjentka może skorzystać ze znieczulenia i nie musi za to płacić, jest bardzo ważna dla rodzących. Dlatego decydują się na nasz szpital. Reklama roznosi się pocztą pantoflową. Moją rolą, jako ordynatora, jest dbanie, żeby cały personel lekarski i pielęgniarski na oddziale stosował się do tych zasad.

– Dzięki temu chronicie kobiety i ich dzieci przed rozwiązywaniem porodów cesarskim cięciem, co – jak dziś wiemy – powinno być stosowane w wyjątkowych, uzasadnionych medycznie

sytuacjach. Statystyki pokazują, że jest ono nadużywane, a nie zawsze najlepsze dla matki i dziecka.

– Zgodnie z obowiązującym prawem stan po jednym cięciu jest wskazaniem do kolejnego, a decyzja należy do pacjentki. To jest źle ustawione. W efekcie w skali kraju liczba cięć narasta. Odpowiedzią na to jest zbudowanie takiego zaufania u pacjentki, żeby ona uwierzyła, że lekarz chce dla niej dobrze. Jeśli tłumaczę, że pierwszy poród rozwiązano cięciem na przykład z powodu ułożenia pośladkowego, ale w przypadku drugiej ciąży nie ma już takiej konieczności, to najważniejsze jest, żebym umiał do tego przekonać. Pacjentka musi też chcieć sama sobie pomóc – bo to do niej należy decyzja, czy podpisze zgodę na próbę porodu siłami natury. Ktoś, kto źle wspomina poród fizjologiczny, który w dodatku zakończył się cięciem, nie będzie skłonny do podpisania takiego dokumentu, albo podpisze, ale przy pierwszych skurczach wycofa zgodę. Młoda generacja lekarzy już z tym nie walczy. Ale to może skutkować tym, że dojdziemy do ściany, że porody siłami natury staną się ewenementem.

– Jak to się stało, że został pan ginekologiem położnikiem?

– Pochodzę z rodziny o medycznych tradycjach. Kiedy zaczynałem, byłem bodaj piętnastym z kolei lekarzem. Dziś w najbliższej rodzinie jest niemal trzydziestu lekarzy, w moje ślady poszli dwaj synowie: jeden jest stomatologiem, drugi ginekologiem. Lekarzem jest żona. Moja siostrzenica przeniosła się właśnie ze Lwowa na stomatologię do Krakowa, gdzie medycynę studiowałem także ja. W zawodzie pracuję od 36 lat, 23 lata jestem ordynatorem w Krapkowicach, gdzie realizuję się zawodowo, łącznie ze zrobieniem doktoratu, czym chcę podkreślić walor szpitala terenowego, w którym jak ktoś chce, to może się rozwijać. Doktorat robiłem na bazie badań prowadzonych w naszym szpitalu. Nie tylko ja jestem

dowodem na to, że w małych ośrodkach można robić kariery naukowe, bo jedna z moich asystentek, która teraz jest w Opolu na onkologii, też zrobiła doktorat, pracując na moim oddziale. Na ukończeniu jest kolejny doktorat robiony u nas. Moja praca badawcza dotyczyła oceny satysfakcji pacjentek na podstawie przeprowadzonych hospitalizacji w oddziale: jak zmieniała się w zależności od profilu zabiegów. To był duży materiał porównawczy na bazie około tysiąca pacjentek. Generalnie ocena była pozytywna. Osobiście dla mnie była to też miara zmian, jakie przeprowadzałem na oddziale jako ordynator. Wszedłem w ginekologię, żeby ją zmieniać. Postawiłem sobie za cel, żeby w moim oddziale nie działo się nic, co byłoby przeciwko życiu, ale i zdrowiu pacjentek.

**– Tematem książki jest uśmiech dziecka. Pan go widzi – jak są-
dzą – podczas badania usg, ale nie darmo mówi się, że „szczęśliwa
mama to szczęśliwe dziecko”**

– Nie zawsze są ku temu przesłanki, na przykład przy ciążach niechcianych. Kiedy kobiecie potrzebne jest, oprócz ginekologicznego, także wsparcie psychologiczne, nie mogę tego zignorować. Staram się przedstawić jej perspektywę na „po porodzie”. Dlatego nawiązałem współpracę z ośrodkiem adopcyjnym, żeby ułatwić mamom w trudnych sytuacjach życiowych przekazanie dzieci do wczesnej adopcji. Przez ostatnie lata nie miałem takich przypadków, ale z racji wcześniejszej współpracy z ośrodkiem byłem zapraszany na spotkania dla rodzin adopcyjnych. To, co zawsze budziło tam mój uśmiech, to upodobnienie się tych dzieci do adopcyjnych rodziców. Gdybym nie widział, że to są dzieci adoptowane, to nie uwierzyłby, że nie mają tych samych genów. Wyzwaniem dla lekarzy położników są też ciążę zagrożone. Możemy się pochwalić na oddziale zerową umieralnością podczas porodów, ale wiemy też, że nie jest to dane raz na zawsze. Sporadycznie zdarzają się nam przypadki martwych ciąż. To trudna sytuacja

medycznie, żeby wyindukować taką ciążę bez konieczności cięcia, ale też psychicznie, żeby umieć wesprzeć mamę w tej traumie. Myślę, że zawsze, kiedy rodzi się dziecko i słyszymy ten pierwszy krzyk, to mama się cieszy i lekarz też. Kiedyś próbowałem zliczyć swoje cięcia cesarskie i wyszło około 2 tysięcy. Gdybym wszystkie te dzieci zaprosił na raz, to byłby tłum.



Chcemy, by dzieci
były szczęśliwe
i zadowolone z życia,
żeby nie były dla
nikogo powodem
do łez

Joanna i Gerard Wilczkowie, rodzina
zastępcza z Reńskiej Wsi

– Dzięki nim mamy przedłużoną młodość. Gramy na instrumentach, w piłkę, jeździmy na nartach, biegamy. No to kto ma z tego więcej korzyści? – zastanawia się Gerard Wilczek, który wraz z żoną Joanną przyjęli już pod dach około setki dzieci. Jedne przygotowali do życia w nowych rodzinach, kilkoro zdecydowali się wychować, jak swoje biologiczne.

Sobotni poranek w domu Wilczków w Reńskiej Wsi, wesoły i głośny, jak to w wielodzietnej rodzinie. Paweł właśnie oderwał się od zabawy z Krzysiem i chodząc na czworakach na podłodze, naśladuje beczenie barana, Kuba pobrzękuje na talerzach stojącej pod oknem w salonie perkusji, Kinga, cichutka jak myszka, przysiadła na kanapie. To rodzeństwo. Paweł ma 8 lat, Kuba – 9, Krzysiu – 11, a Kinga – 13.

Gerard i Joanna przysiadają przy stole nad kubkami parującej herbaty. – Właśnie wróciliśmy z porannego biegania. Trzeba będzie Krzysiuwemu dobrego trenera znaleźć, bo ma talent – analizuje głowa domu, od 7 lat zastępczy ojciec rodzeństwa.

Poszukiwanie talentów u dzieci to Wilczków patent na wychowanie. Bez większego namysłu opisują, że Kuba jest uzdolniony sportowo i świetnie gra na perkusji, Paweł bardzo ładnie śpiewa i ma wyjątkowy słuch, Krzysiu nieźle gra na trąbce i biega jak strzała, a najstarsza Kinga to multinstrumentalistka i świetna uczennica, w lot łapiąca języki obce.

Rodziną zastępczą Wilczkowie zostali w 2001 roku, kiedy ich najmłodszy biologiczny syn Benjamin miał 5 lat, Aleksander – 7, Nikola – 11, a najstarszy Mikołaj – 12. Na brak zajęcia przy własnych dzieciach narzekać więc jeszcze nie mogli, a zdecydowali się przyjąć kolejne. – Tego nie można porównywać z wynikiem mnożenia w matematyce – zauważa Gerard Wilczek. – W wielodzietnych rodzinach starsze dzieci w naturalny sposób zajmują się młodszymi. Gdyby było inaczej, to nie siedziałbym teraz przy stole, ale na dywanie, bo nie byłoby komu bawić się z najmłodszym Krzysiem – wskazuje na chłopców zajętych grą. Kinga, która zniknęła w tym czasie w kuchni, pojawia się z noworodkiem, wnuczką Wilczków. – Najstarszy syn się buduje i przywozi ją do nas pod opiekę – wyjaśnia pani Joanna. W kuchni krzątają się jeszcze córka z zięciem, którzy przyjechali na weekend w odwiedziny ze środkowej Polski. Nieobecni w sobotnie przedpołudnie domownikami są dwaj najmłodsi synowie biologiczni (jeden studiuje, drugi pracuje), maturzystka Ewa (wyjechała na korepetycje z matematyki) i studentka Ela.

Joanna: Będąc jeszcze w szkole podstawowej trafiłam na artykuł w „Przyjaciółce”, że poszukują osób do opieki w wioskach dzie-

ciężych. Pomyślałam, że mogłabym to robić. W domu było nas troje: siostra młodsza o 6 lat, brat o 7. Jak mama pracowała, to im matkowałam. Pomagałam też przy dzieciach cioci, która szybko owdowiała. Potem urodziłam czworo swoich, ale że mieszkaliśmy w bloku w Kędzierzynie, to pomysł zostania rodziną zastępczą trzeba było odsunąć w czasie. Pierwszy dom jeszcze wynajmowaliśmy, a kiedy kupiliśmy ten, uznaliśmy, że możemy wreszcie przyjąć więcej dzieci.

Mieli wówczas niespełna 40 lat. Z czasem zagospodarowali strych, przygotowali osiem pokoi. Po 18 latach bycia rodziną zastępczą śmieją się, że mogliby z tego profesurę zrobić.

Gerard: Doświadczenie pozwala nam spokojnie przyglądać się nawet burzliwemu dorastaniu kolejnych dzieci, bo wiemy, jak to się skończy. Odzywki w stylu „ja się na świat nie prosiłem” albo „nie jesteś moim tatą” nie robią na mnie wrażenia. Wiemy, że kiedy dziecko buduje własną tożsamość, czuje się jak podczas burzy. Ale ta burza przeminie. Dziecko może w tym czasie krzyczeć, co chce, ale nie rodzic, bo jak się przekroczy pewne granice, to potem trudno odbudować zaufanie. Potrzebna jest też cierpliwość. Żona często powtarza „do 18 roku życia mu przejdzie” i to prawda. Przy wychowaniu dzieci nie od razu uzyskuje się satysfakcjonujące wyniki. Robi się dwa kroki do przodu, a potem – krok do tyłu.

Przez te 18 lat przyjęli pod swój dach około setki dzieci. Większość z nich trafiła do adopcji.

Gerard: To bardzo obciążające, bo nienaturalnym jest, żeby oddawać dziecko z domu. Czuły to także nasze biologiczne dzieci. Po pierwszej adopcji 12-letni syn spał w łóżeczku małego Kubusia. Na szczęście nowi rodzice byli na tyle otwarci, że do dziś jesteśmy w przyjacielskich relacjach. Zostałem nawet chrzestnym tego

chłopca. Dziś to nastolatek, który gra w orkiestrze i zaprasza nas na koncerty.

Wilczkowie nie mówią wprost, skąd znajdują siłę na opiekowanie się kolejnymi dziećmi, ale od młodości związani są z chrześcijańskim Ruchem Oazowym Światło-Życie, a historia jednego z ich zastępczych synów może być dowodem na to, że wiara góry przenosi. Mówili na niego Lolek, choć urzędowo miał inaczej na imię. Urodził się jako czwarte dziecko, poważnie chore: z alkoholowym zespołem płodowym, szpotawą stopą, zwężonymi tętnicami płucnymi. Po narodzinach biologiczna mama postanowiła przestać pić i odzyskać troje starszych dzieci umieszczonych poza domem, ale szans na wychowanie wymagającego specjalnej opieki malucha nie widziała. W drugim tygodniu życia trafił do Reńskiej Wsi. – Jeździłam z nim regularnie do lekarzy, bo nogę trzeba było gipsować, żeby naciągać ścięgno Achillesa, a u kardiologa kontrolowaliśmy tętnice, bez większych nadziei na poprawę. Podczas którejs z kolejnych wizyt badanie kardiologiczne trwało dłużej niż zwykle. Zaniepokojona, zapytałam, czy coś się stało, a lekarz na to, że tętnice się rozszerzyły i nie wie, jakim cudem. Ja wiedziałam. To dlatego, że Lolek na niego mówiliśmy i ojciec święty go uzdrowił – zamyśla się Joanna.

I tak został Karolem. Trafił do adopcji, którą zaaranżowała Joanna, bo w ośrodku adopcyjnym akurat nie było kandydatów na rodziców. Dziś chłopak gra w piłkę, jeździ na snowboardzie. Gerard wyjmując pudełko ze zdjęciami od adopcyjnej rodziny – podarunek sprzed lat. Na zdjęciu wypisz, wymaluj Karol, jak rodzony syn adopcyjnego ojca. To fenomen adopcji, że dzieci tak bardzo się upodobniają. – Tu byliśmy na roczku – pokazuje Joanna następną fotografię. – Czekamy na kolejne urodziny Karola.

Opowieść o szczęśliwych adopcjach przerywają dowodzący bracia: jeden drugiemu niechcący siadł na okulary i zausznik złamany. Poszkodowany zaczyna płakać, ale jakby pro forma. Joanna bez

złości próbuje go ofuknąć: „Daj spokój, naprawi się”. I przytacza najnowszą łapiącą za serce historię z Kubą w roli głównej. – Jeżdżę z nim do poradni i ostatnio psycholog omawiał ze mną wyniki pracy i opowiada, że rozmawiali o bohaterach, więc zapytała Kubę, kto to jest bohater. A on na to, że dla niego bohaterami są rodzice. I to są te chwile, które wynagradzają cały nasz trud i wysiłek.

Gerard: Dzięki tym dzieciom mam przedłużoną młodość. Gramy razem na instrumentach, w piłkę, jeździmy na nartach, biegamy. No to kto ma z tego więcej korzyści? – pyta, wyraźnie nie oczekując odpowiedzi.

Darek, który z powodu bijatyk miał wylecieć z kolejnej szkoły, a skończył rok z czerwonym paskiem, to kolejny oszlifowany przez Wilczków brylant. Był wówczas niemal rówieśnikiem jednego z ich biologicznych synów, ale nawet z nim nie znajdował wspólnego języka, bo nadużywał pięści. Na nic zdały się przenosiny do innej szkoły. Kiedy dyrektor zagroził, że chłopaka trzeba będzie i stamtąd zabrać, a kuratorka go poparła, Wilczkowie wiedzieli, że to ostatnia szansa. – Odkryliśmy w nim talent matematyczny i na koniec roku miał świadectwo z czerwonym paskiem – wspomina Gerard. Okazało się, że skłonność do bitki chłopak zawdzięczał biologicznemu ojcu, który „ustawiał” mu walki na podwórku i robił za sekundanta. Teraz Darek jest studentem.

Ela też trafiła z domu Wilczków razem z rodzeństwem do adopcji, ale nie znalazła wspólnego języka z nowymi rodzicami. Zaczęły się ucieczki z domu, do biologicznej matki. Gerard znalazł ją kiedyś – gimnazjalistkę – na melinie w ościennym województwie. Cała na czarno. – Powiedziałem, że ją kochamy i może do nas wrócić, ale na naszych warunkach: oddaje telefon, zrywa kontakty z toksycznym środowiskiem, zmywa makijaż, zmienia

ubranie. Zostawiłem na kartce numer telefonu. Zgodziła się – wspomina zastępczy ojciec. – Adopcyjna rodzina uznała, że sobie z nią nie poradzi. Została u nas. Kiedy mówiłem jej, że się ma uczyć i zdawać maturę, to się ze mnie śmiała. Teraz studiuje we Wrocławiu. Ma bardzo fajnego chłopaka. Ale z tą miłością też były przeboje. Chłopak szedł na studia, a ona stwierdziła, że się z nim przeprowadza, choć do zakończenia szkoły średniej zostały jej dwa lata. Mówię do niej „oszałałaś”, tłumacząc, że jak chłopak nie zda na kolejny rok, to jego rodzice będą za to winili ją. Zarzucała nam, że jej szczęście zabieramy. Afera była, krzyki, płacz.

Z maturzystką Ewą też było kilka przepraw, które zakończyły się happy endem, ale Gerard pamięta, że kiedy ją jako 12-latkę chrzcili (do bycia chrześnymi namówili jej biologicznych krewnych, którzy z tego powodu zdecydowali się nawet na wzięcie ślubu) miał dziwny sen. Śniły mu się kurczaki pod kloszem, które miał pilnować, ale większy biały dziobał małego żółtego do krwi i choć Gerard je rozdzielał, nie udało mu się pisklaka uratować. – Kiedy szedłem rano na tę mszę, myślałem – „Boże, przecież ja jej nie upilnuję” – wspomina Gerard. Niedawno zmarła jej biologiczna mama. Byłem razem z nią przy tej śmierci. Przejść z dzieckiem razem takie sytuacje to coś bardzo ważnego. Bo cała tajemnica wychowania to być z dzieckiem w sposób aktywny, przeżywać z nim radości, ale i trudne momenty. Ona sama na pogrzebie stwierdziła, że gdyby w tym środowisku została, to też by pewnie piła.

Gerard: Rodzice wychowujący dzieci muszą mieć zawsze przed oczyma, co ma być na końcu tej drogi, jak to dziecko będzie sobie radziło w dorosłości.

Joanna: My czasami zajmujemy się tu i teraz, które urasta do rangi problemu, a trzeba patrzeć dalej.

Gerard: Chcemy, żeby dzieci były szczęśliwe i zadowolone z życia.

Joanna: I żeby nikt nie musiał przez nie płakać.

W Polsce w pieczy zastępczej jest 80 tysięcy dzieci, z tego jedna czwarta w domach dziecka, pozostałe w rodzinach, w większości spokrewnionych, czyli stworzonych przez babcie i rodzeństwo.

Imiona niektórych dzieci zostały zmienione.

„Kaprys” powstał z kaprysu kilku zapaleńców

Klaudiusz Lisoń, Młodzieżowe Orkiestry Dęte



Historia lubi się powtarzać: gdyby Klaudiusz Lisoń nie trafił do swojego nauczyciela w Chudobie pod Olesnem, nie zostałby muzykiem; gdyby nie skorzystał z zaproszenia do Prószkowa, nie zostałby „ojcem” dziesiątek muzycznych dzieci.

Sobotni, listopadowy wieczór w Chrzęszczycach. Na parkingach wokół miejscowego gościńca nie uświadczysz miejsca. W rozświetlonej sali środek parkietu nietypowo zastawiony rzędami krzeseł, przed nimi podest. Goście już zasiedli przy stołach pod ścianami

i w głębi sali. Na klatce schodowej z góry na dół kursują jeszcze młodzi z czarnymi pudłami, a w nich flety, saksofony, puzony, trąbki. Dziewczeta i dziewczynki w ciemnych sukniach, długich i krótkich, koronkowych i gładkich, obowiązkowo z misternie ułożonymi fryzurami; panowie i chłopcy równie eleganccy: garnitury, białe koszule, muchy pod brodami, wyglansowane buty. Ostatnie chwile przed galowym koncertem są nerwowe. Na podeście staje Klaudiusz Lisoń: czarny garnitur, buty-lakierki, czerwona mucha; podnosi batutę, zapada cisza i... cała sala przenosi się w inny wymiar. Rozpoczyna się doroczny, galowy, urodzinowy koncert Młodzieżowej Orkiestry Dętej „Kaprys” z Prószkowa. Wyjątkowy, bo na finał jubileuszowego roku.

Przypadek zrządził, że pochodzący spod Olesna Klaudiusz Lisoń, zaczął we wrześniu 2007 roku uczyć gry na instrumentach dzieci z gminy Prószków. Wcześniej zaczął prowadzić orkiestrę w Leśnicy. – Na pierwsze spotkanie w Boguszycach przyszło ich dwanaścioro. Zastanawiałem się wtedy, jak długo to potrwa, na ile im starczy zapалу. Zakładałem, że zniechęceni regularnymi ćwiczeniami będą się wykruszać. A tu po dwóch miesiącach grupa rozrosła się do trzydziestu. Na bazie tej szkółki powstała młodzieżowa orkiestra dęta – wspomina Lisoń.

Pierwszy występ mieli już miesiąc później, w październiku 2007 roku na tej samej sali w Chrzęszczycach, gdzie zagrali listopadowy koncert w 2018 roku. Na pierwszy występ Klaudiusz Lisoń poprosił gminę o jednakowe koszulki dla małych muzyków; pięćdziesiąt sztuk wydawało się wówczas na wyrost. Po roku w orkiestrze było już ponad pięćdziesięciu członków, dziś – ponad siedemdziesięciu. Z pierwszego składu zostało obecnie kilkoro, ale wielu przez te lata dorastało z orkiestrą aż do pełnoletniości, a czasami nawet do ślubu, nierzadko z partnerami poznanymi w zespole. Ich muzycznym śladem idą najmłodsze „kaprysy”, które choć nie grają

jeszcze pełnego repertuaru, to siedzą ze starszymi kolegami i uczą się koncertowej kindersztuby.

„Po 10 latach działalności na koncie mamy występy m.in. w Filharmonii Opolskiej, w Hali Stulecia we Wrocławiu, partnerskich miastach gminy Prószków. Za sobą mamy nagrane płyty CD, udział w projektach międzynarodowych i festiwalach muzycznych. Poznaliśmy przez dziesięć lat wielu nowych ludzi: Czechów, Niemców (...) Niektóre przyjaźnie pozostały do dziś i są żywym przykładem na to, że warto w życiu robić coś więcej... (...) Jesteśmy wdzięczni tym, którzy (...) mieli Kaprys w swoich głowach i zrobili wszystko, żeby zafunkcjonował on w rzeczywistości” – napisał zespół w ulotce wydanej na 10-lecie. Wśród tych, co mieli „Kaprys” w głowach, byli św. Alojzy Olsok, śp. Andrzej Broy i kierująca przez wiele lat gminą Prószków burmistrz Róża Malik. A do listy osiągnięć z jubileuszowego roku dopisać trzeba występ z orkiestrą niemieckiej Bundeswehry.

Do prószkowskiej orkiestry młodych (z gminy, ale też Opola, Krapkowic, Strzeleczek, Dobrzecia Wielkiego, Siolkowic; niektórzy pokonują na cotygodniowe próby po 30-40 kilometrów) przyciąga nie tylko pasja do muzyki, ale też atmosfera panująca w zespole i poczucie bycia drużyną. – Prowadzimy doroczne warsztaty orkiestrowe zimą i latem. W wakacje jeździmy na Mazury: część ćwiczy, druga w tym czasie żegluje, a potem zamiana – opowiada Klaudiusz Lisoń, który podkreśla, że sam jest wychowankiem „twórczych wariatów” i stara się podążać ze „swoimi” orkiestrami tą samą ścieżką. Drugie, a w zasadzie pierwsze jego dziecko, to Młodzieżowa Orkiestra Dęta w Leśnicy.

„Twórczy wariaci” działają jak magnes na ludzi. Rok temu orkiestra pojechała latem na warsztaty nad morze. Wyłynęli w rejs statkiem na zachód słońca. Zaczęli grać na pokładzie. Załozde tak

się spodobała wesoła ekipa z Opolszczyzny, że zaprosili ich już za darmo kolejnego dnia, widzą w tym dodatkową reklamę. Znany Lisonia, który przyjechał tam z grupą dzieci z Głogowa, żeby podpatrzeć jak pracują, nie mógł się nadziwić atmosferze radości, z jaką muzykowali Opolanie. Z rejsu była jeszcze jedna korzyść: jeden ze starszych opolskich chłopaków zakochał się w dorabiającej na statku studentce z Kaszub. Miłość była tak wielka, że Klaudia sprowadziła się do Opola i zaprzyjaźniła z orkiestrą. Jest ulubienicą kilkuletniej córeczki dyrygenta, Klary (w orkiestrze gra także jego najstarszy z czworga dzieci, 12-letni Janek). – To są historie, które dają przeogromną radość – kwituje Klaudiusz Lisoń, ale zaznacza, że nie da się tworzyć orkiestry bez ciężkiej pracy. Tyle, że wyjazdy i wspólne projekty sprawiają, że jest to owinięte w atrakcyjny papier. – Cieszy mnie, że nasi członkowie budują relacje także poza orkiestrą, że się spotykają prywatnie, co dziś łatwo śledzić choćby na Facebooku – zauważa i podkreśla, że ma ambicje prowadzić zespoły tak, żeby muzykowanie sprawiało radość, ale też było coraz lepsze, na coraz wyższym poziomie – podkreśla.

Skutki są takie, że najlepsi muzycy z orkiestr zakładają własne zespoły, z którymi grają potem choćby na weselach i... mają coraz mniej czasu na wspólne granie pod batutą Lisonia. Ale taka już kolej losu. Wśród podopiecznych Lisonia jest muzyk grający w reprezentacyjnej orkiestrze wojskowej w Poznaniu, kolejny – w orkiestrze policyjnej w Berlinie (grał dla kanclerz Merkel), studenci akademii muzycznych w Bazylei, Wrocławiu czy Krakowie. Jedna z dawnych wychowanek pomaga teraz w prowadzeniu zajęć z najmłodszymi w prószkowskiej orkiestrze.

Dowodem zażyłości muzyków „Kaprysu” jest też zaangażowanie zespołu w promocję projektu, który zgłosili do Marszałkowskiego Budżetu Obywatelskiego. – Chodzili po wsiach, od domu do domu, grali i zbierali podpisy poparcia pod naszym pomysłem, a nie było

to łatwe, bo głosujący muszą podać PESEL-e. Zebraliśmy ponad 4 tysiące głosów. Pieniądze przeznaczyliśmy na organizację koncertów i zakup instrumentów, ale przecież kilku najdroższych, a więc nie dla każdego. A jednak w zbieranie angażowali się wszyscy. Cieszyli się, że robili coś wspólnie. Mieli frajdę, gdy uzbierali pierwsze pięćset podpisów, potem tysiąc. Staram się ich uczyć tej działalności społecznej, żeby kronika była prowadzona, albumy wypełniane naszymi zdjęciami, żeby komuś po „Kaprysie” łąza się kiedyś w oku kręciła – zamyśla się dyrygent. Projekt wspólnego koncertowania zgłoszony do budżetu obywatelskiego miał też odciągnąć młodych od świata wirtualnego na rzecz realnego, gdzie zamiast tysiąca znajomych na Facebooku jest kilkudziesięciu, ale prawdziwych.

Historia lubi się powtarzać: Klaudiusz Lisoń podchodzi z Chudoby pod Olesnem, gdzie w czasach jego dzieciństwa istniała orkiestra, do której postanowił dołączyć. Ćwiczył grę na trąbce, czy deszcz, czy śnieg, wytrwale jeździł na lekcje do domu nauczyciela. Po roku usłyszał, że sobie radzi. Kiedy kończył ósmą klasę, nauczyciel zapytał go, co dalej. Wybierał się do technikum elektrycznego, więc muzyczny mentor zaproponował mu przy okazji podjęcie nauki w szkole muzycznej. – Z czasem technikum stawalo się coraz mniej atrakcyjne, a szkoła muzyczna stała się moim drugim domem. Spędzałem tam coraz więcej czasu. Po pięciu latach nauki w technikum odetchnąłem z ulgą i poszedłem do akademii muzycznej – wspomina Klaudiusz Lisoń.

Bo nawet wtedy, kiedy nie jest nam do śmiechu, trzeba szukać pozytywów

Marta Szewerda-Koszyk, koordynator Fundacji dr Clown na Opolszczyźnie



W Fundacji „Dr Clown” urzekła mnie idea spotkania z uśmiechem drugiego człowieka. Czasem trzeba go wywołać, a czasami czeka na nas – mówi Marta Szewerda-Koszyk, koordynator fundacji na Opolszczyźnie.

– Jak to się stało, że trafiła Pani do Fundacji „Dr Clown”?

– Byłam wówczas studentką animacji społeczno-kulturalnej z arteterapią w Opolu. Dostałam e-maila od koleżanki o możliwości

dołączenia do inicjatywy, w ramach której można zostać menedżerem uśmiechu, odwiedzać szpital. Nie wiedziałam wtedy, że to Fundacja „Dr Clown”. Od tego czasu minęło 12 lat działalności fundacji na Opolszczyźnie i mojego zaangażowania w tę działalność, najpierw w roli wolontariuszki, a teraz zawodowo – jako koordynatora regionalnego.

– Co jest magnetycznego w tej działalności, że przyciągnęła Panią na długie lata?

– W Fundacji „Dr Clown” urzekła mnie idea spotkania z uśmiechem drugiego człowieka. Czasem trzeba go wywołać, a czasem już na nas czeka. Magiczne jest to, że uśmiechem możemy zmienić rzeczywistość na choćby odrobinę lepszą. Początki nie były łatwe. Ani my, ani szpitale nie wiedziały, jak realizować tę ideę w praktyce. Na jednym z pierwszych spotkań usadzono dzieci na krzesłach, jak na widowni, a dla nas przygotowano miejsce „na występ”. To było nie lada wyzwanie. Trzeba też było skonfrontować się ze stereotypami, na przykład kiedy mieliśmy pójść do hospicjum dla dorosłych, bałam się, czy to jest miejsce do „klaunowych” żartów. Z czasem zrozumiałam, że właśnie o to chodzi, żeby nawet wtedy, kiedy nie jest nam do śmiechu, starać się szukać pozytywów. Dobrze opisuje to fragment francuskiej książki Ch.T. Schallera o błogosławieństwach uśmiechu: „Błogosławieni, którzy mówią, że nie ma się z czego śmiać, robią to z uśmiechem”, a kiedy obserwuję naszych wolontariuszy w akcji, wiem, że dzięki nim świat jest piękniejszy.

– Ilu ich jest na Opolszczyźnie? Jak trafiają do fundacji?

– W Polsce 600, na Opolszczyźnie – blisko 50, z czego stale aktywnych – ponad 20. Są wśród nich uczniowie, studenci, osoby pracujące w różnych zawodach: umysłowo i fizycznie, ale też seniorzy.

Trafiają do nas w różnych okolicznościach: zachęcenie przez innych, po tym, jak zobaczyli nas „w akcji” na jakimś evencie albo po obejrzeniu filmu „Patch Adams” z Robinem Williamsem. Jedną z wolontariuszek sama zetknęła się jako pacjentka z lekarzem-klaunem i dołączyła do nas. Mamy wspaniały zespół. Działalność w Fundacji „Dr Clown” to nie to samo co pajacowanie. To umiejętność dotarcie do dziecka i wywołanie jego uśmiechu, zachęcenie go do współdziałania z „doktorem clownem”. Szanujemy emocje pacjenta – jeśli nie ma on ochoty na zabawę, nic na siłę. Może uda nam się spotkać ponownie, kiedy będzie w lepszej formie, bardziej gotowy na uśmiech. Szkolimy wolontariuszy z pracy z emocjami, swoimi i pacjenta. Działamy systematycznie przez cały rok i to jest wyzwaniem, bo Polacy chętnie włączają się w akcje, ale rzadziej w długofalową aktywność. W szpitalach w Opolu, Brzegu, Nysie, Prudniku, Kup bywamy regularnie, inne, np. w Kędzierzynie-Koźlu odwiedzamy choćby z okazji Dnia Dziecka. Współpracujemy też ze świetlicami socjoterapeutycznymi, stowarzyszeniami zajmującymi się osobami niepełnosprawnymi, hospicjami, przy okazji różnych wydarzeń, na przykład mikołajek, ale i bez szczególnych okazji.

– Zabawianie cierpiącego, czasami ciężko chorego dziecka, wydaje się bardzo obciążające emocjonalnie.

– To terapia śmiechem i kolorem. Nie bez powodu wolontariusze ubrani są w żywe barwy, bo to budzi pozytywną energię, a o leczniczej roli śmiechu napisano już wiele. Trzeba podkreślić, że naszą rolą nie jest poznawanie historii choroby małego pacjenta. Owszem, jeśli rodzice mają chęć rozmawiania o tym, to znajdziemy dla nich czas. Ale to rzadkość. Podstawą jest wzbudzanie pozytywnych emocji, które pozwolą dziecku zapomnieć o strachu przed zastrzykiem, złagodzić ból po operacji, odwrócić uwagę od przyjmowanej właśnie kroplówki. Naszą rolą jest sprawianie, żeby

uśmiech i śmiech pomagały w leczeniu. Trudność tego zajęcia polega na rozeznaniu sytuacji „tu i teraz”, bez szczegółowej wiedzy o stanie zdrowia pacjenta, do którego przychodzimy. Mamy też świadomość, że nie wszystkie dzieci od razu otwierają się. Czasami nie mają sił, czasami potrzebują więcej czasu na oswojenie. Ponieważ dziecko w szpitalu jest zwykle ograniczone zakazami i zaleceniami, koncentrujemy się na tym, żeby czuło moc sprawczą przy zabawie z lekarzem-klaunem, np. to ono dyktuje, czy możemy wejść do sali, ile kroków możemy zrobić, czy one mają być małe czy duże, itd. Nie dajemy show, jesteśmy „materiałem” w rękach dziecka.

– Które terapie śmiechem zapadają najbardziej w pamięć?

– Niemal każde spotkanie budzi emocje. Pamiętam dziewczynkę po operacji wyrostka podczas jednej z moich pierwszych wizyt w szpitalu. Czuła się źle, nie chciała wstać z łóżka. Nikt nie potrafił jej do tego namówić, a my przyszliśmy z prezentami-spódniczkami. Kto założył taką spódniczkę, zamieniał się w księżniczkę, która musiała odwiedzić kolejne komnaty pałacu, żeby sprawdzić, co dzieje się u jej poddanych. Ta dziewczynka zgodziła się zostać księżniczką. Przypominam też sobie inną małą pacjentkę w szpitalu na Wodociągowej w Opolu, która płakała z powodu kroplówki. Udało nam się ją namówić do wspólnej gry i zapomniała o wenflo-nie i leku. Z kolei chłopczyk z oddziału pediatrii szpitala przy ulicy Witosa podczas kolejnych wizyt przyglądał nam się z zaciekawieniem, ale nic nie mówił i nie zbliżał się. Po kilku spotkaniach zorientowałam się, że najbezpieczniej czuje się w towarzystwie wolontariuszy-seniorów. Bliżej niż pacjentów szpitali udaje nam się poznać podopiecznych domów dziecka, stowarzyszeń czy fundacji, z którymi współpracujemy. W Opolu to m. in. TRISO i „Dom”. Do TRISO wybraliśmy się kiedyś z grami planszowymi. Pani prezes po jakimś czasie powiedziała mi, że miała wątpliwości, czy to

odpowiednie prezenty dla takich dzieci, ale po wspólnej zabawie oceniła, że dawno nie było tak udanej. Wolontariusze opowiadali mi też historię rodzeństwa, które leżało w dwóch szpitalach: jedno w Kup, drugie z mamą w Łodzi i tak się złożyło, że dzięki nowoczesnym technologiom połączyli się ze szpitalem w Łodzi i prowadzili „terapię śmiechem” w dwóch szpitalach równocześnie, co jeszcze potęgowało komizm sytuacji i możliwości improwizacyjne. Dzięki naszej obecności szpital kojarzy się dzieciom nie tylko z miejscem, gdzie są leczone, ale w którym spotkało je coś radosnego. Żegnając się, zawsze mówimy im: „i do zobaczenia, ale już nie tu”. O tym, że biorą to sobie do serca przekonaliśmy się kiedyś na opolskim Rynku podczas „Świątecznej krainy świętego Mikołaja”. Podbiegła tam do nas uśmiechnięta dziewczynka, która odnalazła się na wystawie zdjęć prezentującej nasze działania i powiedziała: „oto jestem, nie w szpitalu, a tutaj”.

Muzyka daje dużo radości, dodaje odwagi, pomaga w samoorganizacji

Artur i Jolanta Kansy-Budzicz, instruktorzy muzyczni w Łubniańskim Ośrodku Kultury



Mój pradiadek był organistą w Boguszytach, w domu dziadków grało się na pianinie i skrzypcach, rodzice nie muzykowali, ale w trzeciej klasie szkoły podstawowej zapisali mnie do szkoły muzycznej – mówi Artur Kansy-Budzicz, instruktor studia instrumentalnego w Łubniańskim Ośrodku Kultury.

Marta, Florian, Maciek, Dawid, Zuzia, Paulina i jej siostra Agata, Amelia, Piotr, Staszek, Bartosz, Viktoria z bratem Denisem, Rafał i Patryk. Najmłodsi mają 8 lat, najstarsi – 17. Mieszkają w Brynicy, Masowie, Łubnianach, Luboszytach, Jełowej, Murowie. Młodzi

chodzą do tej samej szkoły podstawowej, w Łubnianach, starsi do szkół w Opolu. Łączy ich nauka gry na pianinie i akordeonie pod opieką Artura Kansy-Budzicz i jego żony Jolanty, łączy ich zamiłowanie do muzyki i radość z występów.

– Lubicie ćwiczyć? – pyta Kansy-Budzicz podopiecznych. Milczenie. Jedni patrzą na drugich, niektórzy nieśmiało potakują głowami, przeciągając ciche „taaak”. Instruktor śmieje się – Myślę, że bardziej lubicie umieć grać. Ćwiczenie bywa żmudne, czasem trudne, czasem nużące. To jak z matmą, dopóki się jej nie rozumie, jest beznadziejna, a jak już się załapie, to nauka staje się zabawą, przyjemnością. I z wami jest tak samo – przekonuje i dodaje, że rodzice młodych muzyków potwierdzają, że jak już dzieci czegoś się nauczą, to bez przymusu same ćwiczą to w domu, bo widzą efekty swojej pracy. – Ostatnio byłem u uczennicy, która chodziła do mnie 10 lat i zobaczyłem tam rozłożone nuty na pianinie. Dowód, że gra, choć już się nie uczy. Kiedy udaje się zagrać ulubiony utwór na urodziny mamy, dzień babci, przy świątecznym stole, na koncercie podsumowującym w ośrodku albo bożonarodzeniowym w kościele, to jest radość, powód do zadowolenia, satysfakcji z dobrze wykonanej pracy – klaruje muzyk.

Gry na instrumentach Artur Kansy-Budzicz uczy od bodaj 15 lat, dwa lata później do zespołu instruktorów w Łubniańskim Ośrodku Kultury dołączyła jego żona Jolanta. Poznali się – a jakże – w szkole muzycznej. Pani Jolanta była uzdolnioną pianistką, na jednym z koncertów konkurowała nawet z Rafałem Blechaczem: on wygrał, ona zajęła trzecie miejsce; rozpoczęła studia na akademii muzycznej w Warszawie, ale nie znalazła wspólnego języka z profesorką. Zmieniła studia na anglistykę we Wrocławiu. Uczy angielskiego w szkole w Dobrzemiu Wielkim, a popołudniami daje lekcje muzyki, czasami połączone z konwersacjami.

– Dzięki muzyce sporo jeździłam po świecie, zawarłam wiele znajomości, poznałam męża. Muzyka mnie relaksuje, porządkuje myśli, czas przy fortepianie to czas dla mnie, staram się wygospodarować tę magiczną chwilę codziennie – analizuje pani Jolanta. – W podstawówce chodziłam do autorskiej klasy, w której wszystkie dzieci kształciły się też muzycznie w filii szkoły muzycznej, po sąsiedzku – wspomina.

W rodzinie Artura Kansy-Budzicza umuzykalniony był pradziadek-organista w Boguszytach i dziadkowie, w których domu grało się na pianinie i skrzypcach, a część z ich dzieci pobierało prywatne lekcje gry na tych instrumentach. Rodzice nie muzykowali, ale syna w trzeciej klasie szkoły podstawowej zapisali do szkoły muzycznej. Po latach nauki stwierdził, że zarabianie na muzyce to ciężki kawałek chleba i choć miał już dokumenty złożone na akademię muzyczną we Wrocławiu, to poszedł na studia administracyjne. Po ukończeniu został urzędnikiem, najpierw w Opolu, a obecnie kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego w Lubnianach. Obowiązki zawodowe i domowe godzi z prowadzeniem dodatkowych zajęć muzycznych w ośrodku kultury. W salonie ich domu ważne miejsce zajmuje fortepian, podczas gdy telewizor schowany jest w wiekowej komodzie. Życie domowe spleta się u Kansych-Budziców z lekcjami gry – uczniowie często ćwiczą w ich domu. W ślady rodziców poszła już 8-letnia córka Lena – uczy się w opolskiej szkole muzycznej gry na skrzypcach. Młodszego 4-letniego Piotrusia pewnie czeka ta sama droga.

– Co daje muzyka? Dużo radości, satysfakcję, jest odskocznią od spraw codziennych, od pracy, relaksuje. To inny świat – zamyśla się Artur Kansa-Budzicz. – Ktoś powiedział, że muzyka zaczyna się tam, gdzie kończą się słowa, i to jest prawda. A czym jest muzyka dla uczniów? Myślę, że daje im satysfakcję, budzi pozytywne

emocje, jest inspirująca, wyróżnia ich, uczy przełamywania tremy, ośmiela, ale też uczy dobrej samoorganizacji – wylicza instruktor. – Widzą, jak my z żoną potrafimy godzić obowiązki i przyjemności i uczą się. Dziś mam zajęcia, koncert, spotkanie, a przecież jest sobota.

Liczyby uczniów, którzy przez te kilkanaście lat zdecydowali się uczyć pod ich opieką w lubiańskim studiu, małżeństwo nie potrafi się doliczyć. – Teraz mamy dziewiętnaścioro uczniów, przed rokiem dwadzieścia troje, a w całym studiu u wszystkich instruktorów jest ich około pięćdziesięciu. Koncentrujemy się głównie na nauce przez praktykę. Nie mamy ściśle określonego programu, a metody dobieramy indywidualnie do preferencji i możliwości dziecka. Nawet utwory, które ćwiczymy wybieramy wspólnie, czasami ja proponuję spośród kilku do wyboru, czasami uczniowie przychodzą z czymś, co im wpadło w ucho, jeśli trzeba, sami układamy do niej zapis nutowy – wyjaśnia Artur Kansy-Budzicz.

Niektórzy są w studiu od wielu lat, jak 17-letni Rafał Wiench, który naukę gry na instrumentach w Lubnianach zaczął jako 7-latek. Teraz kształci się równocześnie w szkole muzycznej II stopnia, dzięki przygotowaniu w studiu naukę w Opolu zaczął na pierwszym stopniu od razu od czwartej klasy. W przyszłości chciałby grać w zespole muzycznym, na weselach i imprezach. Byłyby to dodatek do pracy w zawodzie technika mechatronika, w którym się kształci. Na razie współtworzy trio akordeonistów z Piotrem Matyszakiem i Patrykiem Filippem, także pod opieką Artura Kansy-Budzicza.

Inni przyszedli niedawno, jeszcze inni zrezygnowali i wrócili po latach, jak Viktoria Wiczorek, dlatego, że brakowało jej stałego kontaktu z muzyką, mimo że najbardziej lubi grać wyłącznie dla siebie.

Pochodzą i z rodzin muzykujących, i nie mających styczności z instrumentami. – U Rafała Wiencha na akordeonie grał wujek, u Stasia Treli: mama na fortepianie, a tato na gitarze, u Bartka Paszko grał dziadek, u Amelki Waleski – babcia na fortepianie, u Dawida Sowy – mama na fortepianie – Artur Kansy-Budzicz robi szybki przegląd.

Nauka gry na instrumentach okazuje się zaraźliwa. 11-letni Bartosz Paszko opowiada, że w jego klasie najpierw uczyło się troje dzieci i wtedy mogły jeszcze pochwalić się umiejętnościami przed innymi. – A teraz wszyscy się zapisali – mówi. – W szkole mamy perkusję i saksofon. Instruktor podpowiada: – To możecie stworzyć zespół, ale musicie się lubić, bo to podstawa.

Zaczynałem od szesnastu grających dziewcząt, teraz jest ich około setki

Tomasz Minkiewicz, Trener KS Unia Opole



„Kochany trenerze bardzo ciem proszę rzeby byłem z Michałem i Filipem bendziemy podawaci” – napisał w laurce jeden z młodych piłkarzy. Trudno się dziwić, że prośba pojawiła się na facebookowym profilu Tomasza Minkiewicza z komentarzem: „odbierasz dzieci ze świetlicy na trening, a tu taka niespodzianka, made my day!” i rozbawioną buźką.

Ta sympatyczna korespondencja to pamiątka z poprzedniego klubu, w którym Tomasz Minkiewicz prowadził futbolowe treningi dla chłopców. Teraz specjalizuje się w szkoleniu młodych piłkarek w KS Unia Opole. Absolwent wychowania fizycznego i fizjoterapii na Politechnice Opolskiej wcześniej sam grał w piłkę nożną

w Swornicy Czarnowąsy. Jako trener najpierw prowadził małych piłkarzy w Czarnowasach i Akademii Odry Opole. – W trzecim roku pracy w Odrze nadarzyła się okazja prowadzenia zespołu seniorskiego Unii Opole, po tym jak z powodów osobistych zrezygnowała z tego ówczesna trenerka. Tak zostałem prowadzącym dziewczęcej drużyny, grającej wówczas w III lidze, bardzo rozstrzelonej wiekowo, bo zawodniczki miały od piętnastu do dwudziestu kilku lat – opowiada Minkiewicz, który w 2017 roku ukończył roczny kurs podwyższający kwalifikacje trenerskie do stopnia UEFA A, a egzaminującym był nie kto inny jak sam Paweł Janas!

Klub piłki nożnej kobiet istnieje w Opolu od 2001 roku: powstał na podwalinach klubu żołnierskiego, który został zawieszony z powodu zaangażowania wojaków w pomoc powodzianom. Pierwszą w historii miasta drużynę żeńską założył trener Andrzej Mazurek, na prośbę... córki. W sezonie 2008/2009 zespół seniorek wywalczył awans do I ligi kobiet, a 2011 roku sięgnął po Mistrzostwo Polski w futsalu kobiet, czego nie udało się osiągnąć żadnej innej opolskiej drużynie. Obecnie rywalizuje w II lidze śląskiej. Minkiewicz przygotowuje też narybek dla najstarszej ekipy. – Kiedy przyszedłem do klubu, nie miałem skąd czerpać kadr. Postanowiłem więc skorzystać z moich wcześniejszych doświadczeń w prowadzeniu młodszych grup wiekowych chłopców, utworzyć coś na wzór Akademii Odry Opole, żeby w Unii też była ciągłość szkoleniowa – argumentuje trener.

Teraz w Unii trenują nawet 6-latki, a najstarsze zawodniczki mają ponad 20 lat; w ubiegłym roku grała w nim 28-latka. Tomasz Minkiewicz opowiada, że wiele z jego podopiecznych to dzieci rodziców grających w piłkę nożną, ale są i takie, których rodzice nie byli entuzjastami tej dyscypliny sportu, a przekonali się, kiedy zobaczyli, jaką radość ich córkom dają treningi. – Piłka nożna w Polsce kojarzy się ze sportem męskim, tymczasem w Stanach Zjednoczonych, Niemczech czy krajach skandynawskich jest bardzo popularna też

wśród kobiet – zauważa. – Dla mnie nie była nowością, bo kiedy jako 10-11-latek trenowałem w klubie Rodło Opole, miałem grającą w futbol koleżankę, Nataszę Górnicką. Śledzę jej karierę – niedawno zdobyła mistrzostwo Polski z Górnikiem Łęczna.

O swoich wychowankach Minkiewicz mówi, że te młodsze są bardzo zdyscyplinowane, uporządkowane, bardzo chętnie się uczą i słuchają, w przeciwieństwie do chłopców w ich wieku, których na murawie roznosi energia. Na treningach starszych dziewczyn przydaje się z kolei sztuka dyplomacji i skutecznej motywacji. – Mają swoje humory, nad którymi trzeba zapanować w czasie meczu – kwituje z uśmiechem trener „unitek”, prowadzący także kadrę młodzieżek województwa opolskiego.

W jego ocenie na opolskich klubach piłkarskich ciąży grzech zaniechania – nie szkoliły dziewczynek od małego, nie zaszczepiały w najmłodszych pasji do futbolu, a przecież – przytacza znane powiedzenie: „czym skorupka za młodu nasiąknie...”. – Do niedawna piłka kobieca w naszym województwie opierała się głównie na dziewczynkach trenujących z chłopcami. Kiedy osiągnęły pewien wiek, nie mogły już grać w składach mieszanych, a tylko najlepsze były przechwytywane do zespołów seniorskich przez kluby, które nie przyczyniły się do ich wyszkolenia. Dlatego ta dyscyplina tak słabo się rozwijała u nas, w przeciwieństwie do Śląska czy Małopolski – opisuje Tomasz Minkiewicz. – Dlatego w Unii chcemy to zmienić. Zaczynałem od szesnastu grających, a teraz we wszystkich zespołach jest ich około setki. Mam ambicję rozwijania kobiecej piłki nożnej w Opolu.

Na piątkowy trening w Zespole Szkół Budowlanych w Opolu stawia się kilkanaście dziewczynek, głównie czwarto- i piątoklasierek, z Opola i okolic, ale także na przykład z Krapkowic. Jest Helena, Lena, Nadia, Oliwia, Hania, Liliana, Karolina i Ania. Wchodzą

roześmiane, rozgadane na salę sportową, z piłkami pod pachami. Za oknem już ciemno, najchętniej człowiek zaszyłby się pod kocem w łóżku, a one pełne energii. Któraś mówi, że jest w klasie sportowej, w której ma dziesięć lekcji wychowania fizycznego w tygodniu. Młodsze dziewczynki mają treningi dwa razy w tygodniu, juniorki młodsze dodatkowo dwa mecze, czyli w sumie cztery spotkania w tygodniu. – To musi być prawdziwa pasja, skoro poświęcają jej tyle czasu – zauważam. Trener potwierdza: – Uprawiając tę dyscyplinę sportu przy okazji uczą się układać sobie życie, godzić naukę ze sportem, samodyscypliny i pracy w zespole, zawierają i budują przyjaźnie. Mają ku temu okazje nie tylko na treningach i meczach: jeżdżę z nimi na obozy, w czerwcu 2018 roku byliśmy na stadionie narodowym na meczu Polska – Litwa, w listopadzie na meczu reprezentacji kobiet Polska – Bośnia, na zakończenie sezonu byliśmy na kręglach czy paintballu. Chcę, żeby budowały więzi – zaznacza Tomasz Minkiewicz.

– Fajny jest, miły, niezbyt surowy, za to bardzo kreatywny, prowadzi treningi tak, że nigdy się nie nudzimy się – charakteryzują trenera dziewczynki.

„Unitki” pod wodzą Minkiewicza mają już na kontach pierwsze sukcesy. W 2017 roku zdobyły mistrzostwo województwa w kategorii młodziczek, wiosną 2018 roku wygrały puchar prezesa Opolskiego Związku Piłki Nożnej w wojewódzkiej lidze juniorek młodszych, jesienią tego samego roku zajęły w tym turnieju II miejsce, zdobywając tyle samo punktów to zwyczajski zespół, ale tracąc więcej bramek w bezpośrednim pojedynku. Dziewczynki, które właśnie szykują się do treningu, zdobyły IV miejsce w rozgrywkach ogólnokrajowych o Puchar Tymbarku. Ich starsze koleżanki w kategorii U-12 zdobyły VII miejsce w Polsce. Z kolei seniorki awansowały z III ligi opolskiej do II, a w zeszłym sezonie zdobyły wicemistrzostwo województwa w futsalu.



Drużyna zmienia
na dobre, uczy
samodzielności, wiary
w siebie, wychowuje
na porządnym ludzi

Harcistrz Maria Markuszewska, założycielka 41. Harcerskiej Drużyny Żeglarskiej im. Władysława Wagnera oraz podharcistrz Anna Markuszewska-Łabudzińska.

Druhna Marysia i opolska 41 Harcerska Drużyna Żeglarska to jedno. Jej córka, druhna Ania związała się z drużyną jeszcze przed swoimi narodzinami. Puenta ich działalności kryje się w ulubionym powiedzeniu drużynowej „Czuwaj. I płyniemy dalej”.

– W drużynie dobrze się bawimy, budujemy przyjaźnie, ale przede wszystkim działamy według harcerskiego prawa. Wbrew pozorom dzieci lubią dyscyplinę, musztrę, chcą działać według ustalonych zasad – zaznacza podharcistrz Anna Markuszewska-Łabudzińska, opolanka, nauczycielka, członek kadry 41 Harcerskiej Drużyny Żeglarskiej im. Władysława Wagnera, córka jej założycielki harcmistrz Marii Markuszewskiej.

Zasad – punktów harcerskiego prawa – jest dziesięć: harcerz sumiennie spełnia swoje obowiązki; na jego słowie można polegać jak na Zawiszy, co znaczy, że jest prawdomówny i robi to, co obiecał; harcerz jest pożyteczny i niesie pomoc bliźnim; w każdym widzi bliźniego, a za brata uważa innego harcerza; postępuje po rycersku; miłuje przyrodę i stara się ją poznać; jest karny i posłuszny rodzicom i przełożonym; jest zawsze pogodny, do tego oszczędny i ofiarny; wreszcie – pracuje nad sobą: jest czysty w myśli, mowie i uczynkach; jest wolny od nałogów, co znaczy, że dba o zdrowie.

Druhna Ania: Niektórzy krzyż harcerski dostają u nas po roku, a inni po pięciu latach, bo na to trzeba sobie zasłużyć. Nie wystarczy wstąpić do drużyny, wziąć udział w biegu harcerskim, mieć wiedzę i umiejętności, jeśli nie ma odpowiedniej postawy wobec innych kolegów, koleżanek i przełożonych. Z kolei ci, którzy sobie na krzyż zapracowali, zostają z drużyną na bardzo długo.

Członków drużyny jest obecnie około sześćdziesięciu. Przyjeżdżają na zbiórki z Opola i okolic: Naroka, Komprachcic, Dąbrowy Niemodlińskiej. Najmłodsi mają 7 lat. Jest też grono studiujących i pracujących, którzy pomagają w organizacji harcerskich imprez i obozów (jako kadra) czy akcji „Znicz”. Granatowi harcerze utrwalają się w pamięci opolan podczas uroczystości patriotycznych; pod cmentarzem, gdzie sprzedają znicze, zarabiając na utrzymanie drużyny; dzięki „Barce” cumującej na kanale Ulgi w Opolu przy harcerskiej przystani czy latem, kiedy trenują na Odrze i Jeziorach Turawskich. Po ponad 50 latach działalności (okrągły jubileusz obchodzili w 2015 roku) wpisali się w historię miasta i regionu.

Druhna Ania: Dawno temu był tak zwany nabór. Druhna Marysia szła do szkoły, mówiła o harcerstwie i dzieci się zapisywały. W tej chwili nabór „robiją” harcerze, którzy są w drużynie, przyprowadzając kolegów i koleżanki, kuzynów i rodzeństwo. Nie wstydzą się

chodzić w mundurach, opowiadają o obozach, biwakach, zbiórkach, promują nas na Facebooku. To jest nasza wizytówka. Towarzystwo Przyjaciół 41 HDŻ organizuje też tygodniowe letnie obozy żeglarskie w Turawie, dla dzieci od pierwszej do szóstej klasy; wielu z uczestników po takich wakacjach dołącza do drużyny.

– Co ich przyciąga? To, czego gdzie indziej nie znajdą – nie ma wątpliwości harcmistrz Maria Markuszewska, która w 1965 roku, po zdobyciu harcerskiego stopnia instruktorskiego (przewodnika) postanowiła założyć własną drużynę z tzw. „naboru podwórkowego”: częściowo druhów z 40 HDŻ, do której należała, częściowo uczniów opolskiej szkoły podstawowej nr 20. Oczywiście było, że będzie to drużyna żeglarska. W pierwszym składzie znalazło się 20 osób, a przez ponad 50 lat przed drużynę mogło „przejsć” i 10 tysięcy osób, wielu zakotwiczyło w niej na lata.

– Jak ktoś jest z Opola to ma koleżankę, kuzyna, ciocię, kogoś z rodziny, kto był lub jest związany z naszą drużyną – wskazuje druhna Ania, która sama nie wyobraża sobie innego niż w drużynie życia. Jej mąż Marek Łabudziński – poznany jako „zielony” harcerz ZHP – też zmienił barwy i dołączył do żeglarskiej kadry. W drużynie jest teraz ich 10-letnia córka Agatka i oczywiście wydaje się, że dołączy do niej także synek – obecnie przedszkolak Adaś.

Druhna Ania: Kluczowa dla drużyny jest charyzma druhny Marysi. Byli u nas tacy, co mówili, że im się coś nie podoba. Odchodzili i zakładali swoje drużyny, które nie przetrwały próby czasu. Przyciągali na początek 30-40 osób, a po roku nie było już nikogo.

Żeglarstwo to pierwszy magnes, który przyciąga nowych do drużyny. Komu pływanie będzie nie w smak, długo tu nie wytrzyma. Ważna, a może najważniejsza, jest zgrana ekipa. – Oprócz zbiórek, obozów, rajdów, harcerze spotykają się też prywatnie: zapraszają się

na urodziny, chodzą na lodowisko czy do kina. Budują w drużynie przyjaźnie, które trwają aż do dorosłości i dłużej. Niektórzy znajdują w drużynie partnerów na całe życie – kontynuuje druhna Ania.

Druhna Marysia: Ale podoba im się także dyscyplina, musztra, jasne zasady, jakie u nas panują. To daje poczucie bezpieczeństwa. Wiedzą, czego mogą się spodziewać.

Ważnym elementem spajającym drużynę jest praca. – Dzieci lubią to, przychodzą co pięć minut i chcą, żeby sprawdzać, co już im się udało, czy dobrze to zrobili. Bardzo chcą się pokazać – ocenia dh Marysia.

Druhna Ania: Mało tego, na „Barce” używają na przykład szlifierek, młotków, malują prawdziwymi farbami. Kto dziś dzieciom da młotek? Noży boją się używać, bo rodzice w domu zabraniają, żeby się nie zranili, a my pozwalamy. To też jest element przyciągający, bo tworzymy miejsce, w którym się robi coś innego.

– Tak sobie myślę, że my im bardzo mocno ufamy – kontynuuje druhna Ania - bo u nas dzieci wożą dzieci. Mają do tego uprawnienia, ale żeglarzem jachtowym można zostać już w wieku 14 lat, więc bywa, że 15-latki mają na łódce pod sobą młodszych, mniej umięjących harcerzy. Wszyscy muszą się nauczyć współpracy. Młodszy uczą się przy okazji szacunku do starszych wiekiem, ale też stopniem. Harcerstwo opiera się na hierarchii. Starsi mają pomagać młodszemu, ale młodszy mają wykonywać polecenia starszych; szczególnie jest to ważne w żeglarstwie, gdzie czasami od szybkiej reakcji zależy bezpieczeństwo.

Druhna Marysia: Jak jesteś sternikiem na jachcie i jest napisane, że na nim może być pięć osób i ktoś przyjdzie i będzie cię namawiał, żeby wziąć jeszcze trzy, to nie wolno tego zrobić. Są zasady i czuwaj.

Druhna Ania: Współczesne dzieci na polecenie: „podnieś ten papierek”, mówią „a to nie mój”, „a dlaczego ja?”. Harcerze uczą się wykonywać polecenia na lądzie, żeby na łódce nie zastanawiać się i nie dyskutować z poleceniami sternika, nawet jeśli ten sternik jest ich kolegą, to w danej chwili pełni funkcję i z racji tego trzeba go słuchać. Harcerz jest karny, posłuszny rodzicom i wszystkim swoim przełożonym. To ulubiony nasz punkt.

Druhna Marysia: To jest najważniejsze. Jak to będziesz wykonywać, to ci w życiu będzie dobrze. Nic więcej nie trzeba. I czuwaj. I płyniemy dalej.

Jeden z zapisów w harcerskim dekalogu brzmi: „harcerz jest zawsze pogodny”. – Co jakiś czas prosimy nasze dzieci, żeby nam wytłumaczyły, co to znaczy. Chcemy, żeby same doszły do wniosku, że jeśli dostaną zadanie, to mają mu stawiać czoło, a nie mówić, że ono jest beznadziejne albo że nie poradzą sobie. U nas dzieci rzadko mówią, że czegoś nie umieją – analizuje druhna Ania.

Druhna Marysia: Aktor z teatru lalek, Zygmunt, mój harcerz, kiedy zaczynał, wysłałam go raz na „Barce” wybrać cumę rufową, a on wraca i mówi, że się nie da. Pytam: „co się nie da”? Wysłałam z nim na statek, zaparłam się nogą, złapałam za cumę i poszło. Upewniam się: „próbowałeś?”, a on, że „nie”. I teraz sam mówi, że jak w teatrze uczy młodych aktorów i słyszy, że się czegoś nie da, to pyta, czy próbowali.

Druhna Ania: Druhna Weronika trafiła do drużyny bardzo późno, jako 14-latką. Starszym trudniej się zaadaptować, szczególnie jeśli w hierarchii podlegają młodszym. Weronika najpierw spierała się, dyskutowała z nami, w końcu nauczyła odpowiedzialności za siebie i innych, współpracy, niezniechęcania mimo przeszkód. Teraz jest nauczycielką najmłodszych klas w szkole

podstawowej i często podkreśla, że metodyka harcerska bardzo pomaga jej w pracy. Zdarza jej się dzwonić do nas, żeby omówić problem wychowawczy. Zrozumiała, że warto pytać osób starszych i wprowadzać te rady w życie. Bo drużyna uczy też pokory. Współczesne dzieci są asertywne, chcą dyskutować, nawet jak nie mają racji. Chodzi o to, żeby ich było na wierzchu. W drużynie trzeba odpowiedzieć przełożonemu: „tak jest” i pójść to zrobić, mimo że tego nie chce lub chciałoby się inaczej.

Obydwie drużyny Markuszewskie nie mają wątpliwości, że drużyna uczy też szacunku do tego, co wspólne. – To też jest w dzisiejszych czasach bardzo trudne, bo jak coś jest wspólne, to jest niczyje. A drużyna kieruje się hasłem: „pracuj rzetelnie, bo z owoców twojej pracy korzystają inni, tak jak ty korzystasz z pracy drugich” – stwierdza drużna Ania. Drużna Marysia: To hasło z kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Drużna Ania: I tak jest: harcerze, którzy teraz do nas przychodzą, korzystają z „Barki”, która ma kilkadziesiąt lat, korzystają z łódek, które ktoś przed nimi wyremontował, a po nich przyjdą kolejni i będą z tego wszystkiego korzystać.

Drużna Marysia: Zbudowaliśmy przystań przy „Barce”, zbudowaliśmy przystań w Turawie, mamy piękny pomost, ponad 40 żaglówek, co więcej trzeba. Płyniemy dalej. Teraz znowu dokupiłam 14 Optymistów. I czuwaj. I gra muzyka. I dzieci będą miały na czym pływać.

Jak skwitować, co daje drużyna? Harcmistrz Maria Markuszewska, drużynowa 41 Harcerskiej Drużyny Żeglarskiej, ujmuje to tak: – Zmienia na trwałe, na dobre, na życie; uczy, jakim być w życiu, samodzielności, wiary w siebie.

Podharc mistrz Anna Markuszewska-Łabudzińska uzupełnia: – Uczy szacunku dla starszych, kindersztuby, odpowiedzialności za swoje czyny, punktualności, słowności, szacunku do starszych, rodziców, nauczyciela, szacunku do przyrody, patriotyzmu, wychowuje na porządnym ludzi. Wszystko dzięki temu, że trzymamy się prawa harcerskiego i staramy się robić to tak, żeby było rozumiane wspólnie.

Druhna Marysia: Harcerz służy Bogu i Polsce i jest posłuszny prawu harcerskiemu. I czuwaj.



Lepiej poznać pacjenta

Dr Anna Ziemba, zastępca lekarza kierującego pododdziałem Patologii Noworodków w Klinicznym Centrum Ginekologii, Położnictwa i Neonatologii w Opolu.

– Bardzo lubię dyżury. Dają mi szansę lepiej poznać pacjenta. Większość naszych pacjentów to dzieci, które przyszły na świat niespodziewanie, na co rodzice nie są przygotowani. Naszą rolą jest pomóc jednemu i drugiemu – mówi dr Anna Ziemba.

– „Chciałam pomagać innym, od dziecka marzyłam, żeby zostać lekarzem...” Czy tak zaczyna się też pani historia zawodowa?

– Rzeczywiście. Pochodzę z Sandomierza, gdzie skończyłam szkołę średnią. Studiowałam medycynę w Krakowie. W tamtych latach lekarzy w Polsce nie brakowało jak dziś, a kto chciał specjalizować się w wybranej dziedzinie, musiał znaleźć miejsce wśród wolnych w kraju. Informacje o wakatach otrzymywaliśmy na zajęciach na

uczelni. A że chciałam pracować z dziećmi, to trafiłam do Opola. Jestem tu od 27 lat. Najpierw pracowałam w ZOZ-ie, a po 2 latach trafiłam na oddział Intensywnej Terapii Noworodków i Dzieci w Wojewódzkim Centrum Medycznym (obecnie Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym - red.) pod skrzydła doktora Wojciecha Grzywny, doskonałego lekarza, wybitnego specjalisty i bardzo dobrego człowieka, który w 1995 roku rozpoczął organizowanie oddziału Intensywnej Opieki Medycznej dla Dzieci w Opolu, a rok później został jego ordynatorem. To on uczył nas empatii do małych pacjentów i rodziców w warunkach bardzo trudnej pracy. Po jego tragicznej śmierci praca na oddziale nie była taka jak wcześniej. Odeszłam na oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii WCM, a od 2007 r. jestem tutaj. Ważny wpływ na mnie jako lekarza miała też doktor Halina Kubicka, mój kierownik specjalizacji z zakresu pediatrii. Nauczyła mnie, że mały pacjent jest najważniejszy i tylko skrupulatnie zebrany wywiad i wykonanie dokładnej diagnostyki, bez względu na koszty, pozwoli postawić właściwą diagnozę. Takie samo podejście do pracy miały doktor Zofia Kucharska i doktor Maria Hamuda, która pozwoliła mi pracować tak, jak nauczyłam się od doktora Grzywny, chociaż wiązało się to z dużymi zmianami na prowadzonym przez nią oddziale. Niewiele szefów to potrafi.

– Jacy są mali pacjenci?

– Mają dużo empatii. Są bardzo szczerzy i tak samo potrzebujący. Ci nieco starsi potrafią rozbawić do łez, opowiadając o chorobach, o których słyszały od rodziny. Na przykład kiedy informują, że nie mogą posprzątać zabawek w gabinecie, bo boli je wątroba, jak babcię. Najtrudniejsze dla bliskich są przypadki starszych dzieci, które nagle zaczynają ciężko chorować lub w krytycznym stanie trafiają na OIOM. Zdarzało nam się na Witosa utrzymywać pod aparaturą dzieci przywiezione z wypadków, którym nie mogli-

śmy już pomóc, ale chcieliśmy dać rodzicom możliwość pożegnania. Dzięki kontaktom z dziećmi czuję, że wykonuję najbardziej wdzięczny zawód. Nie wyobrażam sobie pracy poza szpitalem. Bardzo lubię dyżury. Dają mi szansę, żeby lepiej poznać dziecko. A że na ogół w naszym szpitalu przy dziecku są też rodzice, to możliwość kontaktu przez 24 godziny z tym samym lekarzem daje im poczucie bezpieczeństwa. Bo u takich maluchów sytuacja może zmieniać się z godziny na godzinę. Mnie zależy, żeby pacjent był w jak najlepszej kondycji, a rodzice mieli zaufanie do lekarza i zastosowanej terapii.

– Budowanie tego zaufania wydaje się szczególnie trudne w stresującej sytuacji dla rodzica chorego dziecka.

– Większość naszych „pacjencików” to wcześniaki, dzieci, które przyszły na świat niespodziewanie, w nieodpowiednim dla nich czasie, na co rodzice nie są przygotowani. Nawet jeśli uczestniczyli w szkołach rodzenia, czytali książki, oglądali filmy instruktażowe, to szykowali się na narodziny zdrowego dziecka. Choć i z takim nie wszyscy sobie radzą i wracają do nas w krótkim czasie od wypisu, bo na przykład dziecko ulewa albo ciągle płacze. Narodziny wcześniaka oznaczają komplikacje: od niewydolności oddechowej począwszy, przez różnego rodzaju choroby, a niekiedy wady. Dziś w nocy urodziło się przedwcześnie dziecko i jego tato chciał ułożyć sobie cały plan: pierwszego dnia – leki, następnego – odstawienie wsparcia oddechowego, po tygodniu – powrót do domu. Tymczasem przy tak małym dziecku możemy mówić tylko o tym, co dzieje się tu i teraz. Naszą rolą jest pomóc rodzicom przetrwać te trudne chwile i przygotować się do opieki nad dzieckiem. Cały zespół jest do tego szkolony. Wiele naszych położnych jest po kursach psychologii, mamy też dwóch zatrudnionych psychologów, którzy są zarówno dla rodziny jak i dla nas, personelu medycznego, ogromnym wsparciem. Staramy się poznać rodzinę, żeby pomóc

jej najlepiej, jak potrafimy. Niektóre uratowane wcześniaki są tak małe, że mieszczą się na dłoni dorosłego. Naszą rolą jest nauczyć rodziców, jak troszczyć się i pielęgnować takiego maluszka, jak go dotknąć, przytulić, kangurować, nakarmić. Ta miłość rodzicielska rodzi się na naszych oczach. Widzimy, jak niepewni, przerażeni i zagubieni rodzice stają się „profesjonalistami”.

– Co daje pani satysfakcję zawodową?

– Gdy dziecko wychodzi z oddziału zdrowe, a jego rodzice – szczęśliwi. Nierzadko mamy okazję obserwować dalszy rozwój naszych małych pacjentów na organizowanych przez nas corocznych balach i piknikach wcześniaka. Zdarza się też, że rodzice zaglądają do nas do szpitala z rosnącymi pociechami, żeby pochwalić się ich postępami w rozwoju. Dla wielu z nich szpital na tygodnie, a nawet miesiące staje się drugim domem, z czym wiążą się trudne przeżycia. Rodzice na oddziale przejmują się swoim dzieckiem, ale też innymi, które poznają podczas długiego pobytu. Emocje budzi w nich przyjazd inkubatora transportowego z porodówki, oznaczający, że urodził się kolejny wcześniak lub inny, bardzo chory noworodek; przejazd dziecka z sali przewlekłego leczenia na „erkę”, oznaczający, że stan pacjenta się pogorszył i telefony od nachalnych dalszych krewnych, którzy za wszelką cenę chcieliby zobaczyć noworodka, na co się nie zgadzamy, bo każda taka wizyta to zagrożenie, że ktoś nawet nieświadomie przyniesie jakąś chorobę. Dla małych pacjentów groźny jest nawet katar. Staramy się uspokajać te emocje rodziców, co jest dużo trudniejsze niż leczenie. Ogromną satysfakcję daje też możliwość obserwowania postępów, jakie robią nasi mali pacjenci czasami z dnia na dzień: jak uczą się jeść przez smoczek, potem ssać pierś, reagują na bodźce z otoczenia, uśmiechają się i zasypiają wtulone w swoje mamy. Mamy specjalistów od metody Brazeltona, którzy podczas badania pokazują rodzicom, co już potrafi ich nowo narodzone dziecko.

Dla wielu to ogromne zaskoczenie. Satysfakcję dają mi też małe, codzienne sukcesy, postępy w leczeniu.

– Niezapomniani pacjenci?

– Pamiętam wielu z nich, szczególnie tych trudnych medycznie przypadków. Najtrudniejszym była 9-latka z rozległymi poparzeniami skóry i dysfunkcją wielonarządową. Jej leczenie to była prawdziwa szkoła życia i medycyny. Kiedy do nas trafiła, z medycznego punktu widzenia miała 5 procent szans na przeżycie. Żaden dorosły nie byłoby w stanie udźwignąć takiego bólu i cierpienia, i mieć tyle determinacji do zdrowienia. A wyszła z tego, nie bez szwanku, ale żywa. Pamiętam też dziewczynkę z pęcherzykowym oddzielaniem się naskórka. Kiedy do nas przyjeżdżała na badania krwi, rodzice zawijali ją w koc, a my szukaliśmy jakiegoś naczynia, w które tylko moglibyśmy się wkluć bez uciskania, bo każdy dotyk ją ranił. Zabiegaliśmy w koncernach farmaceutycznych o specjalistyczne odżywki dla niej. Pamiętam chyba każdego „pacjencika”, nigdy z nazwiska, ale przebieg leczenia, wyniki badań, powikłania, walkę o życie... Taka praca.

Aby mierzyć drogę przyszłą, trzeba wiedzieć, skąd się wyszło

Gabriela Dworakowska, artystka, muzyk, nauczycielka, pasjonatka i krzewicielka kultury regionalnej, żona i siostra, mama i babcia.



„Aby mierzyć drogę przyszłą, trzeba wiedzieć, skąd się wyszło”. Ten cytat z Cypriana Kamila Norwida był mottem działania Dąnuty Zalewskiej, założycielki Izby Regionalnej w szkole w Biadaczu. Schedę po niej przejęła, pielęgnuje i rozwija Gabriela Dworakowska, artystka, muzyk, nauczycielka, pasjonatka i krzewicielka kultury regionalnej, żona i siostra, mama i babcia.

Na poddaszu szkoły w Biadaczu pod Łubnianami jak wehikułem czasu można przenieść się do tradycyjnego śląskiego domu

z bifyjem (kredensem) w kuchni, drewnianym łóżkiem i dzieciącą kolebką w sypialni, wystawionymi na komodzie w pokoju ramkami ze ślubnymi życzeniami i ślajdrą (wirówką do mleka) w części gospodarczej.

Gospodynią tego miejsca od 10 lat jest Gabriela Dworakowska, artystka, muzyk, nauczyciel, pasjonatka i krzewicielka kultury regionalnej, żona i siostra, mama i babcia. A każda z tych ról ma znaczenie w tej historii. Historii życia jej, jej rodziny i dzieci szkolnych, którym przekazuje miłość do muzyki, także ludowej oraz śląskie zwyczaje i tradycje.

Szkolna izba muzealna nosi imię Danuty Zalewskiej, przedwcześnie zmarłej polonistki z Biadacza i twórczyni tego miejsca, której – z pomocą mieszkańców – udało się zgromadzić pokaźny zbiór zdjęć „Od kolebki po grób” i przedmiotów codziennego użytku ze śląskich domów, warsztatów rzemieślniczych i zagrod. Izba stała się wymarzonym miejscem do nauki regionalnej historii, kultury, gwary, kultywowania zwyczajów. W przygotowywaniu uczniów (dotychczas gimnazjum, a od tego roku szkolnego – szkoły podstawowej) do występów na konkursach artystycznych Danucie Zalewskiej pomagała Gabriela Dworakowska. Pierwsza dbała „by odpowiednie dać rzeczy słowo”, druga – o oprawę muzyczną. Dziś cała scheda przeszła na Dworakowską.

Siadamy w izbie na poddaszu na ławach, między „szkołą”, „kuchnią”, a „sypialnią”. Dworakowska wyciąga zdjęcia z występów: swoich z rodzeństwem w zespole „Silesia”, prowadzonego przez nią zespołu śpiewaczego „Dziatki Starki Jagatki”, po którym pamiątką jest też płyta nagrana w 2002 roku w studiu Radia Opole i najnowsze – swoich podopiecznych.

Kolejny początek roku szkolnego to nowe otwarcie dla nauczycieli. Na lekcjach muzyki i plastyki, na pogadankach Koła Regional-

nego w izbie, będzie ponownie łowiła młode talenty z artystycznym zacięciem i przygotowywała je do konkursów regionalnych: literackiego „Ze Śląskiem na ty” w Łubnianach, gawędziarskiego „Śląskie Beranie” w Izbicku i śpiewaczego „Śląskie Śpiewanie” z finałem w Koszęcinie, pod egidą Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Zwykle z sukcesami: jeśli nawet nie jest to miejsce na podium, to wyróżnienie. Przy okazji przygotowań Dworakowska podróżuje z uczniami w czasie, ucząc ich starych, ludowych pieśni i opracowując teksty, często oparte o historie rodzinne: a to o starych spichlerzach w Łubnianach, a to o domu, którego dach zrobiono z drewna z brynickiego kościoła, a to o pielgrzymkach dziękczynnych mieszkańców Biadacza do świętego Rocha.

– Po tym, jak odeszli ostatni gimnazjaliści trzeba tworzyć nową grupę, szukać następców. Szczególnie żał mi utalentowanych muzycznie chłopaków, z których chyba połowa nie pochodziła ze śląskich rodzin. Szczepański, Wysocki, Kamiński – przedstawiali się na konkursach i wywoływali zdziwienie, bo gwarą śpiewali tak, że nikt się nie poznał – mówi Dworakowska i na lekcjach wypatruje tych, co mają i dobry słuch, i chęci, a do konkursu gawędziarskiego – tych co gołdają, bo śpiewać po śląsku jeszcze można się nauczyć, ale gołdać, to już trudno.

Zastanawiamy się wspólnie, jak przyciągnąć dziś młodych na dodatkowe zajęcia regionalne, jak zachęcić ich do ekstrawysiłku, do przygotowań konkursowych. Na odpowiedź długo czekać nie trzeba. Dworakowska zaprasza do izby kilka uczennic na wspólne zdjęcia i zaczyna opowiadać pięknie, po śląsku o serwisie do kawy, wzorze opolskim, a potem śpiewa, a dziewczynki chóralnie się włączają. I już jest wesoło, radośnie. – Nie zapomniały przez wakacje – mówi potem z wyraźną satysfakcją nauczycielka. Ale też przyznaje, że gwara u młodych, nawet jeśli jeszcze „gołdają po naszymu” w domach, się zmienia. W zapomnienie odchodzą wyrazy

nieużywane na co dzień, jak wspomniana „ślajdra”, ale i motylka nikt już nie nazwie śmatyrlokiem, choć przecież nadal wiele ich można, szczególnie na wsi, spotkać.

Muzyczny talent u Dworakowskiej, z domu Czech, przeszedł w genach, a podrasowany został ciężką, systematyczną pracą. Jak to na Śląsku. – Brat, Krystian Czech, jest muzykiem, obecnie dyrektorem Domu Kultury w Łubnianach, siostra Basia – śpiewa, o dziadku, którego nie zdążyłam poznać, ciocia opowiadała, że grał na skrzypcach, a w soboty, do wysprzątanego już domu, schodzili się jego koledzy z sąsiedniej wsi z instrumentami, popijali, grali i śpiewali. Te skrzypce dziadek chyba przekazał ojcu. Ten grał na nich nawet w kapeli w wojsku, a w rodzinnych wspomnieniach zapisało się, jak została mu w tym wojsku jedna struna. Jak on musiał po niej skakać, żeby wydobyć dźwięki – zastanawia się Dworakowska, z wykształcenia skrzypaczka.

– Mojemu bratu nauka w szkole muzycznej zamarzyła się już w pierwszej klasie podstawówki. Ale mieszkaliśmy 20 kilometrów od Opola, dojazd był trudny. Rodzice ulegli w końcu jego prośbom kiedy szedł do siódmej klasy. Na fortepian czy skrzypce było już dla niego za późno, dlatego uczył się gry na klarnecie. Ja skorzystałam z okazji i dołączyłam do brata. Szłam wtedy do pierwszej klasy. Ojciec wziął nas na egzamin do Opola. Przygotowałam piosenkę „Jadą wozy kolorowe taborami”. Pamiętam, że w komisji był dyrektor Jerzy Heller. Po kilku taktach kazali mi skończyć, ale ojciec nauczył mnie śpiewać do końca, więc nie przestałam. Do nauki gry wybrali mi skrzypce, dla mnie wówczas niezbrane, bo ojca instrument popsuli mali braciszczkowie mamy, kiedy zaczął do niej chodzić w kawalerce – wspomina.

Krystian chodził wówczas do szkoły w Łubnianach, Gabrysia – do Dąbrówki. Po lekcjach mama brała ją na moplika i zawoziła do

Łubnian, skąd obydwójce jechali do Opola autobusem. Od trzeciej klasy dziewczynka jeździła już sama. Z Dąbrówki do Łubnian na rowerze albo z mamą na Romecie.

Muzyczne wykształcenie rodzeństwo Czechów spożytkowało zakładając we trójkę (także z młodszą siostrą Basią) na początek zespół grający „po weselach”, do którego z czasem „dokoptowali” krewnych grających na perkusji i gitarach.

Ojciec Czechów w dzieciństwie chodził też z kołędą winszującą razem z rówieśnikami z sąsiedztwa, od domu do domu wyśpiewywali o narodzeniu Pana Jezusa za datki. Ta tradycja przeszła na kolejne pokolenia. Najpierw na rodzeństwo Czechów (Krystiana, Gabrysię i Basię), potem na dzieci Dworakowskiej (Sebastiana, Justynę i Pawła), a w końcu – na szkolne dzieci Gabrysi. – Nawet pojechaliśmy z nią na przegląd „Herody” do Lewina Brzeskiego i chyba zdobyliśmy drugie miejsce – opowiada Dworakowska.

W repertuarze „weselny” rodzinny zespół miał utwory popularne i ludowe, ale takie znane w całej Polsce, jak „Głęboka studzienka”. Na którymś z wesel Krystian Czech zagał, że słyszał w radiu o konkursie muzycznym śląskich pieśni i namówił rodzeństwo do udziału. – Nie wiedzieliśmy z czym wystąpić, poszliśmy do mamy. Zaśpiewała nam pięknie „Przed tą naszą sienią”. Pojechaliśmy do Katowic na „Po naszymu, czyli po śląsku”, a tam okazało się, że to konkurs słowa. Nagrody nie dostaliśmy, ale organizatorka Maria Pańczyk zaprosiła nas na występ laureatów i poprosiła, żebyśmy przygotowali więcej pieśni. Drugą była „Wczoraj była niedzielinka”.

I tak powstał pomysł na zespół „Silesia”, z którym rodzeństwo jeździło i jeździ nadal po różnych zakątkach świata: na Węgry, do Niemiec, Francji, Rosji, Czech i Teksasu w USA, na zaproszenie księdza

Franciszka Kurzaja. Są muzyczną wizytówką Śląska Opolskiego. Klarrecista Krystian Czech, skrzypaczka i śpiewaczka Gabrysia Dworakowska, śpiewająca Barbara Wysocka i kolega akordeonista – Rajmund Szymaniec. Pracują razem od 1993 roku, zgodnie. W 2018 roku obchodzili jubileusz 25-lecia, a Gabrysia z rozrzewnieniem wspomina wspólne wyjazdy z nieżyjącym, nieodżałowanym poetą Janem Goczołem. – Jan tak pięknie mówił o duszy śląskiej zakłętej w tych pieśniach. Jego słowa i nasza muzyka tak pięknie się uzupełniały – zamyśla się.

W Łubiańskim Ośrodku Kultury Dworakowska ma teraz czworo małych uczniów chętnych do gry na skrzypcach. – Ile im siły wystarczy, zobaczymy, bo to trudne zajęcie – nie ukrywa. – Na lekcje tańca przychodzi się na godzinę i na tym się kończy. Grę na instrumentach trzeba ćwiczyć w domu, z roku na rok coraz więcej – opisuje.

Założone przez Dworakowską na bazie kościelnej scholi z Łubnian „Dziatki Starki Jagatki” i śpiewający po niemiecku „Heidi” rozpadły się, kiedy jako młodej wówczas mamie trudno było jej pogodzić opiekę nad dziećmi ze studiami. Dziś – już jako babcia – myśli o reaktywowaniu zespołu. – Przyjaźnię się z przedszkolem w Dąbrówce. Przygotowywałam tam dzieci do „Śląskiego Śpiewania”. Teraz przyszły do nas do szkoły w Luboszycach. Pięknie śpiewają – rozmarza się.

Czarna korona na żółtym tle, skrzyżowane miecze i data 1947 - wyznaczają początek historii LZS Kuniów.

Historii z przerwami. Najnowsza pisana jest przez grupę miejscowych aktywistów od kilku lat.



Wioskę położoną tuż przed Kluczborkiem z głównej drogi mało co widać. Trzeba zjechać, żeby dojrzeć zadbane obejścia wokół starszych i nowiutkich domów, kapliczkę i kościół, cmentarz, kilka sporych gospodarstw rolnych i firm, znany ośrodek ze SPA, remizę strażacką, sporą szkołę w charakterystycznym budynku z czerwonej cegły i boisko piłkarskie.

Murawa na nim okazała, podobnie jak piętrowy, klubowy budynek z wymalowaną na jednej ze ścian czarną koroną na żółtym

tle, skrzyżowanymi mieczami i datą 1947. Porządek jak się patrzy i w blaszaku na sprzęt sportowy, i pod drewnianą wiatą, i w sali na piętrze z zapleczem kuchennym, kanapami i telewizorem, stołami, przy których pomieści się nawet 40 osób. W słoneczne wrześnie popołudnie, w środku tygodnia, trwa trening najmłodszych, kilkuletnich piłkarzy. Specjalnie dla nich na mniejszej powierzchni ustawiono dodatkowe bramki.

– To kolejne, chyba trzecie odrodzenie naszego LZS-u – zaczyna opowiadać Gabriela Kalus, żona Huberta Kalusa, który razem z Ryszardem Okajem, Henrykiem Babikiem i innymi działaczami w 2014 roku postanowili reaktywować miejscowy klub. – Po tym, jak ostatni grający tu wcześniej chłopcy uciekli trenować do miasta, trawa wyrosła po kolana, pojawiły się kretowiny, a dach budynku zaczął przeciekać. Wszystko nadawało się do remontu – dodaje Małgorzata Banasiewicz.

– To już szósta zabawa będzie – zamyśla się Gabriela. Dla grupy aktywnych mieszkanek, mam małych zawodników i żon działaczy, klubowe życie toczy się według terminarza sportowych zmagkań, ale i wydarzeń, które organizują, żeby wspierać LZS. To doroczna zabawa andrzejkowa i rodzinny sportowy piknik letni z hitowym meczem „dzieci kontra rodzice”. „Niebezpieczne” – jak o sobie ze śmiechem mówią panie – wpadły też na pomysł wydrukowania sportowego, kuniowskiego kalendarza ze zdjęciami zawodników (na okładce miejscowa murawa prezentuje się niemal jak barceloński Camp Nou, albo – przyrównując klubowe kolory – stadion Borussia Dortmund) i klubowych gadżetów: kibicowskich koszulek, szalików, proporczyków. Wszystko po to, żeby wesprzeć dużych i coraz liczniejsze grono młodszych zawodników.

– W pierwszym roku odnowiliśmy drużynę seniorską, ale w klubie wszystko było tak zniszczone, że wymagało generalnego remontu.

Potrzebny był nowy dach, elewacja, wyposażenie, trzeba było odnowić wnętrze. Zaangażowali się wszyscy. My szukaliśmy pieniędzy na materiały, a że we wsi mamy sporo fachowców, to udało się skompletować ekipę remontową. Na zakończenie sezonu postanowiliśmy zrobić zabawę andrzejkową jako podziękowanie dla piłkarzy i tych, którzy pracowali dla klubu. Po roku ludzie zaczęli dopytywać o kolejną zabawę. Teraz chętni zapisują się już w marcu, żeby nie brakło dla nich miejsc – kontynuuje Gabriela Kalus.

Na sali pomieści się 70-80 par. – Robimy wszystko własnym sump-tem. We wsi mamy DJ-ów, orkiestrę, dziewczyny do obsługi, atrakcją wieczoru jest pieczona świnia od miejscowych gospodarzy, z pańkrautem – opisuje Justyna Spoida. – Na andrzejki do nas przyjeżdżają nawet goście z Opola.

Gdy po dwóch latach gry seniorzy awansowali do A klasy, trzeba było uruchomić drużynę młodzieżową. Obecnie jest ich w Kunowie pięć, w których trenuje niemal 50 zawodników od kilku do 12 lat, także z okolicy. Najstarsi już zaczęli rozgrywać piłkę o punkty, co budzi emocje u małych piłkarzy, ale i kibicujących rodziców.

– Ale to zdrowe emocje – zastrzegają mamy. – Gościliśmy niedawno klub z Namysłowa i rodzicom podobała się atmosfera panująca u nas – opowiada Gabriela Kalus. – Bo to ma być sport, nauka, ale przez zabawę – dodaje Justyna Spoida. Małgorzata Banasiewicz zauważa, że sukcesem jest już odciągnięcie dzieci od smartfonów. Panie zgodnie oceniają, że trenerzy mają podejście do młodych, uczą nie tylko technik gry, ale i dyscypliny.

Sportowy entuzjazm i energia małych zawodników udziela się „niebezpiecznym” mamom. – Skrzykujemy się na grupie, żeby posprzątać w klubie czy upiec ciasta na mecz i nie ma problemu

ze znalezieniem chętnych – podkreśla Justyna Spoida. – Po treningach spotykamy się, żeby pośmiać się, pobyć razem i szukać kolejnych pomysłów na zdobycie pieniędzy dla klubu.

Do historii przeszła choćby akcja zbiórki złomu, w którą zaangażowała się cała wieś, po tym jak ksiądz zapowiadał ją z ambony. Zebrali pięć dużych przyczep od traktorów. W 2019 roku pierwszy raz zdobyły pieniądze na zakup wyposażenia dla najmłodszych zawodników startując w konkursie. – Z wypracowanych podczas organizowanych przez nas imprez pieniędzy kupiliśmy wcześniej blaszak na sprzęt, żeby nie niszczył się za szybko – kontynuuje Gabriela Kalus i zastrzega, że ich aktywność nie ogranicza się tylko do klubu. – Trzeba było zrobić akcję charytatywną dla naszej chorej Milenki, nie było problemu. Zrobiliśmy zabawę karnawałową, stolikami licytowaliśmy tort, udało się zebrać trochę pieniędzy. Teraz cieszymy się, kiedy widzimy jak dziewczynka spaceruje z mamą po wsi: ma się lepiej.

„Inauguracja rundy wiosennej w Kuniowie była okazją. Na derbach z przeciwnikiem zza miedzy zjawilo się niemal 200 kibiców! Miejscowi pokonali gości z Chocianowic 1:0 i zrobili kolejny mały krok w stronę awansu” – relacjonował w marcu 2017 roku portal piłkaopolska.pl.

Hubert Kalus mówił wtedy, że największym sukcesem jest reaktywacja drużyny i przywrócenie do życia klubowych obiektów, które po 3 latach bez gospodarza powoli zmierzały ku ruinie. Ambicją działaczy wówczas było zakończenie remontu sali na piętrze, żeby u siebie świętować 70-lecie. Dopieli swego.

Niedziele w Kuniowie dla piłkarskiej społeczności, ale nie tylko, to rodzinnie spędzony czas na grze w futsal i kibicowaniu. – Wprowadziliśmy zwyczaj, że najmłodsi wyprowadzają seniorskie

drużyny: gospodarzy i gości. Po takim wyprowadzaniu młodzi są częstowani różnymi łakociami. Dzieci dopytują, co będzie tym razem i ustawiają się w kolejce. Cieszymy się, że mamy tyle dzieci i możemy się nimi pochwalić. Kibice i prezesi innych klubów sportowych zazdroszczą nam tak wielu młodych adeptów. Jeździ-
my też z nimi na turnieje. To okazja do bycia razem, świętowania sukcesów, ale też wsparcia, kiedy coś nie wyjdzie, kiedy potrzebują usłyszeć, że „nic się nie stało” – podsumowuje Justyna Spoida.

Klub z tradycjami, klub z przyszłością, klub fenomenalny

LZS Ligota Oleska, wszystko dzięki pracy i ogromnemu zaangażowaniu miejscowych działaczy.



W Ligocie Oleskiej chyba nie ma domu, w którym choćby jeden mieszkaniec nie grał w piłkę w miejscowym LZS-ie. A mało który taki klub może się dziś pochwalić pięcioma drużynami młodzieżowymi.

„Tegoroczne (2019) rozgrywki piłki nożnej o puchar wójta gminy Radłów wygrał LZS Ligota Oleska, który w finałowym meczu pokonał LZS Wichrów” – można przeczytać na stronie Gminnego Ośrodka Kultury w Radłowie z datą 18 sierpnia. I dalej: „o wyniku finałowego meczu zdecydowały rzuty karne. Najlepsi strzelcami turnieju zostali: Ostrzecha Kamil (LZS Ligota

Oleska) – 3 bramki, Bednarz Kamil (LZS Wichrów) – 2 bramki i Jamroz Krystian (LZS Wichrów) – 3 bramki”.

Boisko w Ligocie Oleskiej przypomina, nie przymierzając, trawniki królowej brytyjskiej. Położone przy głównej drodze we wsi rzuca się w oczy: równe jak stół, a trawa na nim – mimo suchego lata – miękka i zielona (dzięki studni i zraszaczowi), przyszyżona w pasy. Z jednej strony ławki zastępujące trybuny, z drugiej – wysokie siatki do wyłapywania piłek. W piątkowe popołudnie wiejską ciszę zakłóca odgłos kosiarki. To Sławomir Więckowski, były prezes, obecnie gospodarz klubu, przycina murawę. Za godzinę na treningu pojawią się tu juniorzy, za dwie – seniorzy.

We wsi pod Radłowem w powiecie oleskim, liczącej "na papierze" ponad 300 mieszkańców (co czwarty zarabia na Zachodzie, pozostali pracują w okolicy lub prowadzą gospodarstwa czy nie-liczne własne firmy), gra 90 zawodników: od żaków, przez orliki, młodzików, trampkarzy, juniorów po seniorów w A klasie. Razem z członkami to ponad 100 ludzi. O tym fenomenie wiejskiego klubu pisały lokalne i regionalne media w sierpniu 2018 z okazji... 70-lecia jego istnienia.

– Nieprzerwanie od 1948 roku – podkreśla Mateusz Skowronek, młody trener młodzieżowych drużyn, zawodnik zespołu seniorów, wychowanek tutejszego LZS-u (zaczynał w 2000 roku jako 11-latek). – Klub sportowy w naszej wsi założył ówczesny kierownik szkoły, Tomasz Woschek i te piłkarskie tradycje są kontynuowane do dziś.

Syn – imiennik kierownika szkoły – przyjechał z Niemiec na jubileusz w 2018 roku. W lokalnym portalu chwalił działaczy i zawodników LZS'u. „Myślę, że gdyby mój ojciec zobaczył, na jakim poziomie jest obecnie ten klub, byłby dumny” – ocenił

i dodał, że drużynę się dobrze ogląda, a murawy mogą jej pozazdrościć kluby niemieckie.

Jubileuszowy mecz z reprezentacją Śląska oldboyów zespół z Ligo-ty Oleskiej wygrał 5:3.

W budynku szkoły, który można dojrzeć spod klubowych szatni, uczniów już dziś nie ma, zostały przedszkolaki. Nie przeszkadza to jednak sportowym działaczom w budowaniu solidnej, wielopokoleniowej drużyny i przyciąganiu na murawę najmłodszych, nie tylko ze wsi. – Z młodymi jest tak, że brat przyprowadza brata, kuzyn - kuzyna, kolega – kolegę. Przyjeżdżają na treningi z całej okolicy, nawet spoza gminy. Inaczej nie uzbierałoby się tyle dzieci – analizuje Mateusz Skowronek i przyznaje, że jego samego zdumiewa ta popularność klubu i piłki nożnej. Że w czasach, kiedy młodych generalnie jest coraz mniej, a do tego mają tyle kuszących elektronicznych gadżetów, ciągnie ich do prawdziwego sportu, wymagającego dyscypliny i wysiłku. – Z tego trzeba się cieszyć – podkreśla trener.

Brygida Chuć, żona prezesa LZS-u: „To zasługa Mateusza. On to wszystko napędza. Dzieci go lubią. Mało powiedziane. Uwielbiają. Widać to, jak wsłuchują się, gdy ich instruuje w czasie treningów. Jest dla nich autorytetem”.

Młody trener kwituje skromnie: „tak mówią”. Żeby prowadzić młodych piłkarzy, skończył studia z wychowania fizycznego na Politechnice Opolskiej. Na boisku spędza całe dnie. Od wtorku do poniedziałku – w takim przesuniętym kalendarzu, w którym tydzień zaczyna się od treningów, a kończy niedzielnym meczem seniorów i poniedziałkowym juniorów. W niedzielnym jest zawodnikiem, w poniedziałkowym – trenerem. W okresie jesienno-zimowym ćwiczy z młodymi na hali i startują w turniejach futsalowych.

Hubert Chuć, prezes LZS-u i wieloletni zawodnik: Tak było u nas od zawsze, że piłkarz i to niejeden był w każdej rodzinie. Grał ojciec, synowie, wujek i kuzyni. Na boisku łączyło ich i łączy nie tylko wspólny cel sportowy, ale i więzy krwi. Były przypadki, że na sezon czy półtora ktoś odchodził do sąsiednich wiosek, ale potem wracał. Właśnie dla tej klubowej, rodzinnej atmosfery, dla tradycji. Nie mamy pieniędzy, żeby płacić zawodnikom, choć inne kluby nawet w okolicy tak robią. U nas zapłatą jest grill po meczu, z kiełbaską, wodą czy colą dla młodszych i piwem dla starszych. Od czasu do czasu zorganizujemy w ramach nagrody wyjazd: starsi chłopcy byli na spływie kajakowym po Małej Panwi, młodzi w aquaparku, seniorzy – w Pokrzywniej. Ale może właśnie dlatego klub działa nieprzerwanie przez tyle lat, że zawodnicy i działacze, rodziny, wieś są z nim mocno związani. Przetrwaliśmy niejedną sytuację kryzysową. W trakcie zeszłego sezonu odszedł od nas trener, ledwo utrzymaliśmy się w A klasie. Wcześniej byliśmy blisko okręgówki, ale w awansie przeszkodziły nam kontuzje kilku czołowych zawodników. Teraz też walczymy o utrzymanie w klasie A, jak spadniemy do B tragedii nie będzie. Młodzi się ograją i będziemy z nimi awansować.

Trener Mateusz Skowronek: Dla zawodników ważni są też kibice. Ojciec przychodzi zobaczyć syna w akcji, dziadek – wnuka. Przyjemnie jest grać przy pełnym boisku.

Wielopokoleniowe szkolenie piłkarzy ma w Ligocie Oleskiej 20-letnią historię za sprawą jednego z działaczy – Henryka Karkosa. To on postawił na szkolenie najmłodszych po tym, jak ówczesna juniorska drużyna przegrała na wyjazdowym meczu w Dalachowie czy Radłowie dwucyfrowym wynikiem. Karkos sprowadził trenera Zbigniewa Bieniasa, pod którego skrzydłami pierwsze szlify zdobywał m.in. Mateusz Skowronek. Następcami Bieniasa byli Jerzy Rabiński i Kazimierz Pawlik. Obecnie seniorów trenuje Tomasz

Jasiński, a Mateusz Skowronek przygotowuje piłkarski narybek na każdym poziomie.

Na koncie sukcesów młodzicy zanotowali IV miejsce w województwie, a w 2018 r. trampkarze zajęli II miejsce w I lidze wojewódzkiej, młode drużyny zdobywały też puchary na pojedynczych turniejach.

Pytany o sportowe klubowe plany Mateusz Skowronek odpowiada: „Szkolić młodzież, utrzymać seniorów, bez nerwowych ruchów, bo ta zasada sprawdzała się przez 70 lat. Dlatego istniejemy”.

Dziecko jest pacjentem szczerym i konkretnym. Jak jest chore, to czuje się źle, jak zdrowieje, to rozrabia.

Dorota Wocka, pielęgniarka oddziałowa oddziału Chirurgii Dziecięcej Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu



Powiedzenie o Panu Bogu, którego rozśmieszają plany człowieka, pasuje do tego zawodu, jak do żadnego innego – mówi Dorota Wocka, pielęgniarka oddziałowa oddziału Chirurgii Dziecięcej Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu.

– Co skłoniło panią do zostania pielęgniarką?

– Moja mama była główną księgową i liczyła, że pójdę w jej ślady. Matematykę bardzo lubiłam, ale to nie była moja pasja. Myślałam

o pracy z dziećmi, szczególnie najmłodszymi – w żłobku, przedszkolu. Ale w latach 80-tych w Opolu nie było szkół kształcących, które szkoliłyby takich nauczycieli. Najbliższa była w Prudniku, z internatem. Ale dla moich konserwatywnych rodziców internat to było samo zło, a codzienne dojazdy z Opolu do Prudnika – zbyt męczące. Kiedy byłam w ósmej klasie, przyszła do nas pani Maria Adamowicz, dyrektor powstającej w Opolu szkoły pielęgniarstwa i pomyślałam, że może to jest miejsce dla mnie. Złożyłam dokumenty razem z koleżanką. W trakcie nauki przekonałam się, że chcę pracować z dziećmi na oddziałach zabiegowych, gdzie dużo się dzieje i trzeba wykazać się dużą aktywnością. Na chirurgię dziecięcą trafiłam zaraz po szkole, jeszcze w trakcie wakacji w 1988 roku, do Szpitala Wojewódzkiego na Katowickiej. I tak do 1996, kiedy potrzebowałam pracy na jedną zmianę, bo moje dziecko nie chciało zostawać beze mnie na noc. Na dwa lata przeniosłam się do stacji krwiodawstwa, gdzie przeszłam przez różne działy, ale było to dla mnie zbyt monotonne zajęcie. W tym czasie chirurgię dziecięcą przeniesiono do otwierającego się szpitala na Witosa. Zadzwoeniłam do koleżanki, która była tam oddziałową. Było miejsce. Wróciłam na oddział, i jestem do dziś.

– Od 2008 roku jako pielęgniarka oddziałowa?

– Moim głównym zadaniem jest organizacja pracy w oddziale: od zabezpieczenia obsady pielęgniarstwa, przez zadbanie o to, żeby nie brakowało leków, sprzętu, by panował porządek, a dziecięcy pacjenci mieli zapewnione wszystko, co potrzebują na czas hospitalizacji. Współpracujemy z 14 lekarzami. Kieruję bardzo fajnym i zgranym zespołem: 16 pielęgniarek, a – w zależności od sposobu organizacji pracy w szpitalu – także 3 paniami porządkowymi i 2 paniami „kuchenkowymi”. Wiele z moich koleżanek pracuje tu wiele, wiele lat. Młodych jest mało i nie garną się na ten oddział, bo to wymagająca, trudna praca. Czasami ścieramy się w zespole,

dziewczyny cenzurują moją pracę, wskazują, co trzeba jeszcze zrobić i za to je cenię. Taka ich i moja rola. Ale jak trzeba się zmobilizować, to wszystkie stają murem. Jak wychodzę ze szpitala to wiem, że zostaje zespół, na który mogę liczyć, który zapewni dzieciom bezpieczeństwo. Przez te ponad 10 lat, z pomocą naczelniej pielęgniarki i we współpracy z oddziałem Pediatrii, wprowadziłyśmy różne rozwiązania, między innymi leżaki dla rodziców. Pierwsze były plażowe. Kolejne zakupiła dyrekcja. Najnowsze – fundacja Owsiaka. Do diety dzieci udało się wprowadzić zróżnicowane posiłki w słoiczkach, gotowe mieszanki mleczne, które zastąpiły stare butelki z naciągаныmi smoczkami. Szpitalnych pieniędzy nie starcza na wszystko, więc żeby pobyt na oddziale był przyjemniejszy, kilka lat temu poprosiłam uczniów Liceum Plastycznego w Opolu o pomalowanie ścian na korytarzach w jednej części, a do drugiej kupiłyśmy ramki na zdjęcia zwierząt, które dostałyśmy z kadr. Koleżanki zdobywają też naklejki i gadżety, żeby złagodzić stres u dzieci hospitalizowanych w oddziale. Jako pielęgniarka odcinkowa realizuję się teraz rzadziej, ale mam taką możliwość na dodatkowych dyżurach medycznych. I wtedy wychodzę z pracy pozytywnie zmęczona.

– Jacy są wasi pacjenci? Z jakimi przypadkami macie do czynienia na oddziale?

– Dzieci są szczerze, prostolinijne, konkretne, prawdziwe w swoich reakcjach. Jak są chore, to czują się źle, jak zdrowieją – rozrabiają. Nawet nastolatki nie potrafią oszukiwać, bo z mowy ciała można wyczytać więcej niż ze słów. Przekrój wiekowy mamy duży: od pierwszego dnia życia do 18 lat. Trzeba więc złapać kontakt z 2-3 latkiem i dorastającym 15-16-latką. Ważne, żeby uszanować godność malucha i nastolatka, zaakceptować różne wychowanie. Mnie przydaje się do tego doświadczenie rodzica i babci. Po ludzku rozumiem ich strach i płacz przed badaniem, zabiegiem

czy operacją. Proponuję swoją obecność, bo czasami z obcą osobą łatwiej jest przejść trudne sytuacje niż z rodzicami. Nasz najważniejszy – obok leczenia – cel to dogadanie się z dzieckiem. Przy maluchach i przyjęciach dzieci w stanach nagłych musimy wykazać też dużo cierpliwości i elastyczności. Trafiają do nas dzieci wymagające interwencji chirurgicznej: z urazami, poparzeniami, stanami zapalnymi w obrębie różnych narządów. Wykonujemy też zabiegi rekonstrukcyjne u dzieci, które rodzą się z wadami układu moczowego, pokarmowego, nerwowego. Rocznie przyjmujemy ok. 2 tysięcy dzieci z województwa, ale też innych regionów; latem dołączają dzieci przebywające na wakacjach, czasami obcokrajowcy. Przywracanie pełnośnianu zdrowia dzieci zwykle daje szybkie i satysfakcjonujące efekty i to jest motywujące w tej pracy.

– Jak budujecie relacje z rodzicami, nierzadko zestresowanymi bardziej niż pociechy?

– W naszym zespole są osoby z różnymi zaletami i wadami. Tak samo rodzice. W początkowej fazie na oddział na Katowickiej wchodzić nie mogli. Teraz kiedy mogą, nie wszyscy chcą towarzyszyć dzieciom. Nie oceniamy tego, ale sama ich obecność to błogosławieństwo dla pacjentów, ale i dla nas. Kadra pielęgniarska jest coraz mniej liczna, a dziecko to nie jest mały dorosły, któremu wystarczy podać leki, zmienić opatrunek, pobrać badania, zaordynować terapię. Ono chce się uczyć, bawić, coś musi w wolnym czasie robić i do zaspokajania tych potrzeb rodzice są bardzo potrzebni. Towarzyszą także przy badaniach, dzięki czemu wiedzą, że 15 minut płaczu dziecka to efekt strachu, a nie 30-sekundowego ukłucia.

– Jacy pacjenci najtrwalej zapisali się w pań pamięci?

– Jednym z ostatnich był mały poparzony chłopczyk, który na początku bardzo się nas bał. Z czasem zyskałyśmy jego zaufanie na

tylę, że przychodził do mnie do pokoju oddziałowej, żeby przywitać się, chodził z nami na obchody, a kiedy zmieniałam mu opatrunki, bohaterko trzymał rączkę, choć lży ciekły mu po buzi. Pamiętam też 16-latkę z urazem, która spędziła u nas całe wakacje. Na początku zbuntowana, niewspółpracująca, bo komu uśmiechałoby się w ciepłe, wolne dni tkwić w szpitalu. Wychodziła od nas jako koleżanka. Chłopak, który spadł ze słupa elektrycznego i stracił rękę, przez pierwsze dni pobytu wyzywał nas od najgorszych, a do zmiany opatrunku musieliśmy wzywać do niego ochronę. Potem okazało się, że jego zachowanie wynikało ze skutków urazu, objawy ustąpiły. Z niektórymi pacjentami kontakt nie kończy się wraz z wypisem ze szpitala. Od czasu do czasu pojawia się u nas były pacjent, który jako nastolatek stracił kończynę. Wiemy, że założył rodzinę, pracuje, uprawia wioślarstwo. To nadaje sens naszej pracy.

– Czy zdarzyło się pani kiedyś żałować wyboru zawodu pielęgniarki?

– Jeśli coś sprawia mi zawód, to nie zawsze dobre relacje z ludźmi. Bycie pielęgniarką jest satysfakcjonujące, pod warunkiem, że zaakceptuje się, że to nie jest praca od 7 do 15 według zaplanowanego harmonogramu i że czasami trzeba być gotowym na wezwanie. Do tego zawodu szczególnie pasuje powiedzenie, że jeśli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, powiedz mu o swoich planach. Ważna jest także świadomość, że oddział szpitala tworzą nie ściany i gabinety, lecz grupa ludzi, którzy w nim współpracują. Jako pielęgniarka nie mam możliwości czynienia wszystkim dobrze, ale staram się, by nikomu nie czynić zła.



Wiara, nadzieja i miłość

Teresa i Kazimierz Jednorogowie,
prowadzący w Opolu fundację „Dom”.

Wiara, nadzieja i miłość – sylld Jednorogów. 30 lat temu Teresa i Kazimierz zainteresowali się osobami niepełnosprawnymi, które z czasem stały się centrum ich świata. Od 28 lat prowadzą w Opolu fundację „Dom”. Tworzą historię pełną sukcesów, ale i kryzysowych sytuacji, z pomocą Bożą i ludzką.

Działalność małżeństwa Jednorogów to materiał co najmniej na grubą książkę, a może i pełnometrażowy fabularny film, pełen dramatycznych a czasami zabawnych, ale przede wszystkim wzruszających sytuacji. Najbardziej zaskakujące jest w niej to, że dzieci Teresy i Kazimierza, dziś dorosłe, od urodzenia są w pełni sprawne. Nauczycielskie małżeństwo w zasadzie nie mało więc powodów, żeby zaangażować się w niesienie pomocy osobom

z niepełnosprawnościami. Poza jednym: sąsiadami, którym urodziło się niepełnosprawne dziecko, niemal rówieśnik ich syna.

– To oni zaprosili mnie w czasie wakacji w 1989 roku jako wolontariuszkę na turnus rehabilitacyjny do Domu Pomocy Społecznej w Kadłubie pod Strzelcami Opolskimi. Jedno z dzieci prowadzono nieznaną wówczas w Polsce metodą Domana, do której sami rodzice nie wystarczali – opowiada Teresa, wówczas pracownica ośrodka doskonalenia informatycznego w Opolu, prekursorka wprowadzająca w szkołach informatykę, dziś prezes Fundacji „Dom Rodzinnej Rehabilitacji Dzieci z Porażeniem Mózgowym w Opolu”.

To właśnie w Kadłubie napatrzyła się na problemy, z jakimi mierzyły się takie rodziny. Sami niepełnosprawni borykali się choćby z brakiem opieki stomatologicznej: „No bo, kto takiemu będzie zęby leczył” – słyszała Teresa. Więc wyrywano je wszystkie pod narkozą. Rodzice mieli poczucie winy, że trafiło im się „takie nieszczęście” albo „kara Boża”, a zdrowe rodzeństwo odczuwało brak wystarczającego zainteresowania ze strony rodziców, bo na to nie starczało już sił i czasu.

Teresa, absolwentka szkoły inżynierskiej w Opolu i studiów z informatyki na uniwersytecie we Wrocławiu, która wyzwani i kłopotów wcześniej raczej unikała, a z leczeniem, nawet domowymi sposobami, była na bakier, powzięła na turnusie postanowienie, że zajmie się pomocą rodzinom osób z niepełnosprawnościami. A że jedyną niepełnosprawnością, jaką lepiej wówczas znała było dziecięce porażenie mózgowe, z którym urodziła się córka sąsiadów, namówiła męża do założenia fundacji. Łatwo nie mieli. Zrozumienia nie znaleźli na początku u księży; spotkali się też z oporem ówczesnej rady miasta, którą prosili o lokum. Komisję zdrowia przekonał do tego pomysłu ostatecznie ortopeda, doktor

Lach, który klarował, że: „trzeba dać szansę Jednorogom”. W tym czasie Kazimierz – nauczyciel wychowania technicznego, potem kierownik ośrodka informatycznego w Opolu – nawiązywał kontakty z twórcami rehabilitacyjnej metody Domana w USA i zapisał się do Towarzystwa Pomocy Ludziom, żeby za jego pośrednictwem móc zbierać pieniądze na tworzony ośrodek. Domanowie zaproponowali opolanom szkolenie w Livorno we Włoszech, wysłali tam zaprzyjaźnionych rodziców, żeby mogli potem uczyć kolejnych na miejscu.

Pierwszy lokal, który Opole zaproponowało Jednorogom, był – jak wspomina Teresa – rudera. Na szczęście, z dnia na dzień popękały w nim rury. Kolejny był dom na Szymanowskiego, z ogrodem. Dziś na miejscu ogrodu jest nowy, oddany w 2013 roku budynek. W 1991 r. zarejestrowali fundację. Nazwali ją „Dom”, żeby była miejscem, do którego – jak do rodzinnego domu – można zawsze wrócić.

Obecny dorobek fundacji to dwie siedziby w Opolu przy Szymanowskiego i Mielęckiego. W pierwszej mieści się ośrodek wczesnej interwencji dla najmłodszych dzieci od 5 tygodnia życia do 3 lat – z gabinetami rehabilitacyjnymi i terapeutycznymi, poradniami: neurologiczną, rehabilitacyjną, psychiatryczną i stomatologiczną oraz pogotowie terapeutyczne dla dzieci. W drugiej są warsztaty terapii zajęciowej, zakład aktywności zawodowej, środowiskowy dom samopomocy – gdzie prowadzone są zajęcia i pracują starsi podopieczni fundacji. Jest jeszcze galeria „Biały Kruk” u zbiegu ulic na Rynku, gdzie fundacja sprzedaje wyroby artystyczne podopiecznych.

Fundacja zatrudnia 160 pracowników, w tym 100 specjalistów, 65 osób niepełnosprawnych, nie tylko w ZAZ, ale też w administracji czy rehabilitacji. Pod opieką „Domu” jest obecnie ponad 1500

rodzin. Ile było ich przez te niemal 30 lat, nikt policzyć nie miał czasu, bo pracujący wolontarystycznie dyrektor Kazimierz Jednoróg i prezes Teresa na takie bilanse, przy codziennej zawierusze, głowy nie mają. Właśnie dzwoni pracownica z Szymanowskiego, że rozchorował się jeden z kierowców, który następnego dnia miał przewozić namiot i fundacyjne dzieła na festyn. Teresa instruuje, jak rozwiązać problem.

Takich problemów, błahych i decydujących o być albo nie być fundacji, przez niemal trzy dziesięciolecia nabierało się sporo. Najbardziej dramatyczne to: powódź w 1997 roku, gdy rzeka Odra zalała i zabrała cały ówczesny dorobek fundacji, groźba zwrotu dotacji na ZAZ, kiedy okazało się, że nie działa winda w budynku, czy kradzież miedzianych rur i kabli elektrycznych i telekomunikacyjnych z budowanego ośrodka wczesnej interwencji (Kazimierz niemal wtedy płakał do kamer). W żadnej z tych trudnych sytuacji Teresy nie opuszczała nadzieja, że skoro Bóg dał im takie zadanie, to pomoże też w pokonaniu kryzysów. I tak się działo: do utworzenia fundacji zaraz na początku swoją cegielkę dołożył Jacek Kuroń, jako ówczesny minister pomocy społecznej i Arnold Borowitza z Monachium, który sam miał niepełnosprawne dziecko, po powodzi zadzwoniła Janina Ochojska, że pomoże wyremontować zalaną siedzibę, a do budowy na Mieleckiego rękę przyłożył prezes Polbau, który namówił znajomego, żeby pieniądze prezenty ze złotego wesela przekazał fundacji. On sam dołożył drugie tyle a jego firma postawiła nowy dom dla fundacji.

Początki działalności fundacji oprócz prowadzenia rehabilitacji podopiecznych, koncentrowały się na wpajaniu rodzicom, że niepełnosprawność ich dzieci nie jest karą za grzechy, strasznym losem, że nie powinni się tego wstydzić, że mają prawo dbać także o siebie, cieszyć się, bawić, odpocząć. – Uczyliśmy podopiecznych, że mają takie samo prawo do życia, jak wszyscy inni. Po tym,

jak raz po moim pytaniu, odmówiono nam wejścia do kawiarni, powiedziałam sobie, że nigdy więcej pytać o to nie będę. Wjeżdżaliśmy wózkami, odstawialiśmy krzesła, każdy uczestnik dostawał kartę menu, żeby mógł sam wybrać, co chce – wspomina Teresa Jednoróg, która jak dobry anioł zajęła się spełnianiem marzeń podopiecznych i ich rodzin.

Pierwsi marzyli na przykład o zdaniu matury, więc Teresa uruchomiła w jednej z sal klasę lekcyjną, do której uczyć przychodzili nauczyciele ze szkoły wieczorowej. Na siedmioro pierwszych uczniów, którzy rozpoczęli naukę, pięcioro podeszło do matury i zdało ją, choć znów nie bez pomocy Teresy. Żeby umożliwić im napisanie prac, ściągnęła do „Domu” dwa stare komputery z ośrodka informatycznego, gdzie wcześniej pracowała. Kiedy rodzice dorosłych dzieci, które nie kwalifikowały się do ZAZ-u z powodu znacznej niepełnosprawności, wypłakiwali się Teresie w ramię, że nie mają gdzie dalej ich posłać po zakończeniu terapii w warsztatach, fundacja uruchomiła Środowiskowy Dom Samopomocy.

Kazimierz, przy żonie dużo bardziej niż zwykle milczący, potwierdza, że w codziennych trudach zabiegania o pieniądze i utrzymywanie fundacji, największą radością jest, kiedy najmłodszy podopieczni z Szymanowskiego z ufnością wyciągają do nich ręce, garną się, przytulają, odwdzięczają uśmiechem.

W 2018 r., na 25-lecie WTZ-u, Teresa opowiadała historię początków działalności warsztatu, kiedy jedna z mam przywiozła na wózku córkę i wskazując na nią pytała, wątpiąc: „pani, ona jedną ręką nic nie robi, drugą też nie lepiej, po co jej tu przyjeżdżać”. Kiedy jej córka wydziergała pierwszy obrazek, przeprosiła za tę niewiarę.



1



2



3



4

odkrywam
z rodziną
opolszczyznę
- mój region



5



6



7



8



9



10



11



12



13



14



15



16



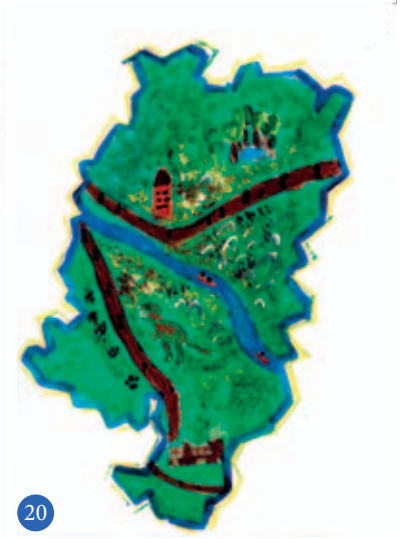
17



18



19



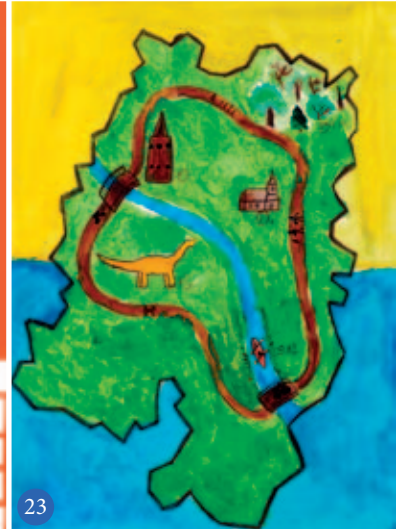
20



21



22



23









Nasze publikacje

2017



2018



2018



2019

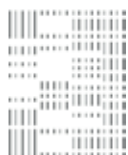


cdn...?

Jesteśmy blisko Ciebie



Znajdź nas na 



województwo opolskie



opolska mama ma moc

Znajdziesz tu m.in. informacje o wydarzeniach,
które organizujemy dla mieszkańców naszego regionu.

Zapraszamy

W książce wykorzystaliśmy prace nagrodzone w konkursie „Opolska mama ma moc”

Wiersze

Kacper Piotrowski, PSP nr 1 w Brzegu	15
Szymon Kuśnierkiewicz, PSP nr 20 w Opolu	17
Julia Owsiak, PSP nr 1 w Brzegu	18
Karolina Skawińska, ZSP w Jastrzębiu	20
Oliwia Goinda, PSP w Borkach Wielkich	21
Patryk Goinda, PSP w Borkach Wielkich	22
Maja Krysiak, GOKSiR i GBP w Pokoju	24
Julia Kurc, PSP nr 28 w Opolu	25
Paweł Lizoń, PSP w Pilszczu	27
Aleksandra Maciak, PSP nr 1 w Zdzieszowicach	28
Julia Mincer, SP w Leśnicy	30
Oliwia Piskorska, PSP w Karłowicach	31
Julia Pszczolarska, PSP nr 1 w Brzegu	32
Marek Wiecha, PSP w Bierdzanach	34
Julia Żylska, ZS w Prusinowicach	35
Zuzanna Bernacka, PSP w Karłowicach	36
Jakub Brodowy, PSP w Borkach Wielkich	37
Olaf Ciurla, GOKSiR w Pokoju	39
Alicja Derda, PSP nr 24 w Opolu	40
Dmytro Halushko, PSP w Popielowie	41
Weronika Drobisz, PSP nr 20 w Opolu	42
Julia Weronika Drózd, ZSP w Jastrzębiu	43
Wiktoria Dudek, SP w Domaradzu	45
Paweł Dużyński, PSP w Karłowicach	46
Zuzanna Garyga, PSP nr 30 w Opolu	47
Benjamin Golletz, PSP nr 1 w Strzelcach Opolskich	48
Mateusz Grześkiewicz, PSP nr 1 w Zdzieszowicach	49
Amadeusz Hoffman, PSP nr 2 w Gogolinie	50

Lena Karpińska, PSP w Błotnicy Strzeleckiej	52
Kalina Kołodziej, ZSP w Pokoju	54
Ewa Kosala, PSP w Borkach Wielkich	55
Filip Kozala, PSP w Borkach Wielkich	57
Katarzyna Kraik, PSP nr 1 w Strzelcach Opolskich	58
Julia Kuraś, PSP nr 20 w Opolu	59
Julia Lipnicka, PSP nr 20 w Opolu	60
Oliwia Majek, PSP nr 1 w Krapkowicach	63
Kacper Max Lubiewski, PSP nr 20 w Opolu	64
Magdalena Matel, PSP nr 1 w Brzegu	65
Maria Nowak, PSP w Wilkowie	66
Kamila Ogrodnik, PSP nr 2 w Oleśnie	67
Marika Pawluś, SP w Branicach	68
Agnieszka Pęcherz, PSP w Dobrzeniu Wielkim	69
Jakub Piskorski, PSP w Karłowicach	70
Bartosz Podżus, PSP w Karłowicach	71
Marta Regimowicz, PSP w Karłowicach	72
Samuel Różański, PSP w Karłowicach	74
Aleksandra Seńkowska, PSP w Karłowicach	75
Helena Skowicka, PSP w Karłowicach	76
Vanessa Soluch, ZSP w Kórnicy	77
Filip Splawiński, PSP nr 3 w Oleśnie	78
Adrian Szefer, PSP nr 1 w Brzegu	79
Agnieszka Walczyk, ZSP w Łączniku	80
Anna Wierzchowiec, SP nr 3 w Nysie	81
Krzysztof Wierzchowiec, SP nr 3 w Nysie	82
Emilia Woźniak, ZSP w Łączniku	83
Mateusz Ziemba, PSP nr 6 w Brzegu	84

Opowiadania

Kaja Gawrecka, PSP nr 11 w Opolu	89
Emilia Pikos, PSP w Bierdzanach	93

Jagoda Bąk, PSP w Karłowicach	95
Laura Bider, SP nr 1 w Brzegu.....	99
Natalia Kolonko, PSP nr 1 w Zdzięszowicach	102
Katarzyna Kraik, PSP nr 1 w Strzelcach Opolskich	104
Marek Lenarczyk, PSP w Starych Siołkowicach	106
Julia Marchel, SP w Branicach	110
Nadia Mendel, ZS w Dąbrowie	112
Julia Pasoń, PSP nr 24 w Opolu	114
Milena Szymaczewska, PSP w Dąbrowie	118
Martyna Telega, PSP nr 3 w Oleśnie	121
Mikołaj Wereszczyński, PSP w Dobrzenu Wielkim	125
Anna Macioł, PSP Staniszcze Małe – Spórok	129
Julia Stankala, ZSP w Łączniku.....	134

Plakaty

Anastazja Topolnicka, lat 7, I miejsce	16
Milena Smutek, lat 7, II miejsce	23
Andrzej Pałosz, lat 6, III miejsce	26
Martyna Pikul, lat 8, wyróżnienie specjalne	33
Alicja Macheta, lat 9, wyróżnienie specjalne	38
Patrycja Humbla, lat 9, wyróżnienie specjalne	44
Fabian Kozioł, lat 7, wyróżnienie specjalne	51
Magdalena Giemza, lat 7, wyróżnienie specjalne	56
Malwina Dendewicz, lat 7, wyróżnienie specjalne	62
Joanna Orzeszyna, lat 8, wyróżnienie specjalne	73
Szymon Bajger, lat 8, wyróżnienie specjalne	85
Kajetan Malisz, lat 8, wyróżnienie specjalne	92
Wiktoria Karbownik, lat 7, wyróżnienie specjalne	98
Marta Lisowska, lat 8, wyróżnienie specjalne	109
Blanka Wiktorek, lat 8, wyróżnienie specjalne	117

Stanisław Gurok, lat 9, wyróżnienie specjalne	122
Alicja Zielonka, lat 8, wyróżnienie specjalne	128
Aniela Kogut, lat 8, wyróżnienie specjalne	133

Mapy

1. Ziemowit Krzykowski, lat 9, I miejsce	219
2. Michał Karczewski, lat 10, II miejsce.....	219
3. Zuzanna Bieniara, lat 8, III miejsce.....	219
4. Filip Wolny, lat 8, wyróżnienie specjalne	219
5. Emilia Adamczyk, lat 7, wyróżnienie specjalne	219
6. Zofia Ćwik, lat 9, wyróżnienie specjalne	219
7. Florian Gallus, lat 8, wyróżnienie specjalne	219
8. Emilia Wahl, lat 8, wyróżnienie specjalne	219
9. Julia Kuźniar, lat 9, wyróżnienie specjalne	220
10. Julia Pięk, lat 9, wyróżnienie specjalne	220
11. Hanna Mydlarz, lat 9, wyróżnienie specjalne	220
12. Martyna Hoefinger, lat 9, wyróżnienie specjalne	220
13. Kalina Sujka, lat 8, wyróżnienie specjalne	220
14. Juliana Kubis, lat 14, wyróżnienie specjalne	220
15. Kinga Kowalik, lat 11, I miejsce	221
16. Oliwia Macha, lat 11, II miejsce	221
17. Paulina Barysz, lat 10, III miejsce	221
18. Klaudia Miozga, lat 12, wyróżnienie specjalne	221
19. Anna Kalisz, lat 12, wyróżnienie specjalne	221
20. Kinga Dworaczyk, lat 12, wyróżnienie specjalne	221
21. Anna Gaś, lat 11, wyróżnienie specjalne	221
22. Dominika Sowa, lat 13, wyróżnienie specjalne	221
23. Magdalena Dykta, lat 11, wyróżnienie specjalne	221

Koncepcja i opracowanie książki:

Karina Bedrunka
Aneta Miskurek
Maja Byrdak

Współpraca:

Agnieszka Gabruk
Anna Mozdzeń
Agnieszka Pijarowska

Wywiady:

Edyta Hanszke-Lodzińska

Sesje fotograficzne bohaterów wywiadów:

Krzysztof Świdorski

Na okładce:

Hania, zdjęcie – Patrycja Mielczarek

Pozostałe zdjęcia wykorzystane w publikacji są własnością Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego - wszelkie prawa do nich są zastrzeżone.

Opracowanie graficzne:

Piotr Figura

Redakcja techniczna, korekta, skład i druk:

Zakład Poligraficzny Sindruk
ul. Firmowa 12, 45-594 Opole
tel. +48 77 442 09 69, biuro@sindruk.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone:

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu bez pisemnej zgody posiadacza praw. Publikacja nie może być sprzedawana – każdy egzemplarz jest bezpłatny.

Wydawca:

Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego
Departament Koordynacji Programów Operacyjnych
ul. Krakowska 38, 45-075 Opole
tel. +48 77 541 62 00; +48 77 541 62 01,
e-mail: dpo@opolskie.pl
www.opolskie.pl
www.rpo.opolskie.pl

Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej w Opolu
ul. Głogowska 25c, 45-315 Opole
tel. +48 77 441 52 50
e-mail: rops@rops-opole.pl
www.rops-opole.pl

ISBN: 978-83-63793-40-1
Nakład: 2000 egzemplarzy
Egzemplarz bezpłatny



Rzeczpospolita
Polska



Unia Europejska
Europejski Fundusz Społeczny



Książka powstała w ramach projektu „Bliżej rodziny i dziecka – wsparcie rodzin przeżywających problemy opiekuńczo-wychowawcze oraz wsparcie pieczy zastępczej – II edycja”

